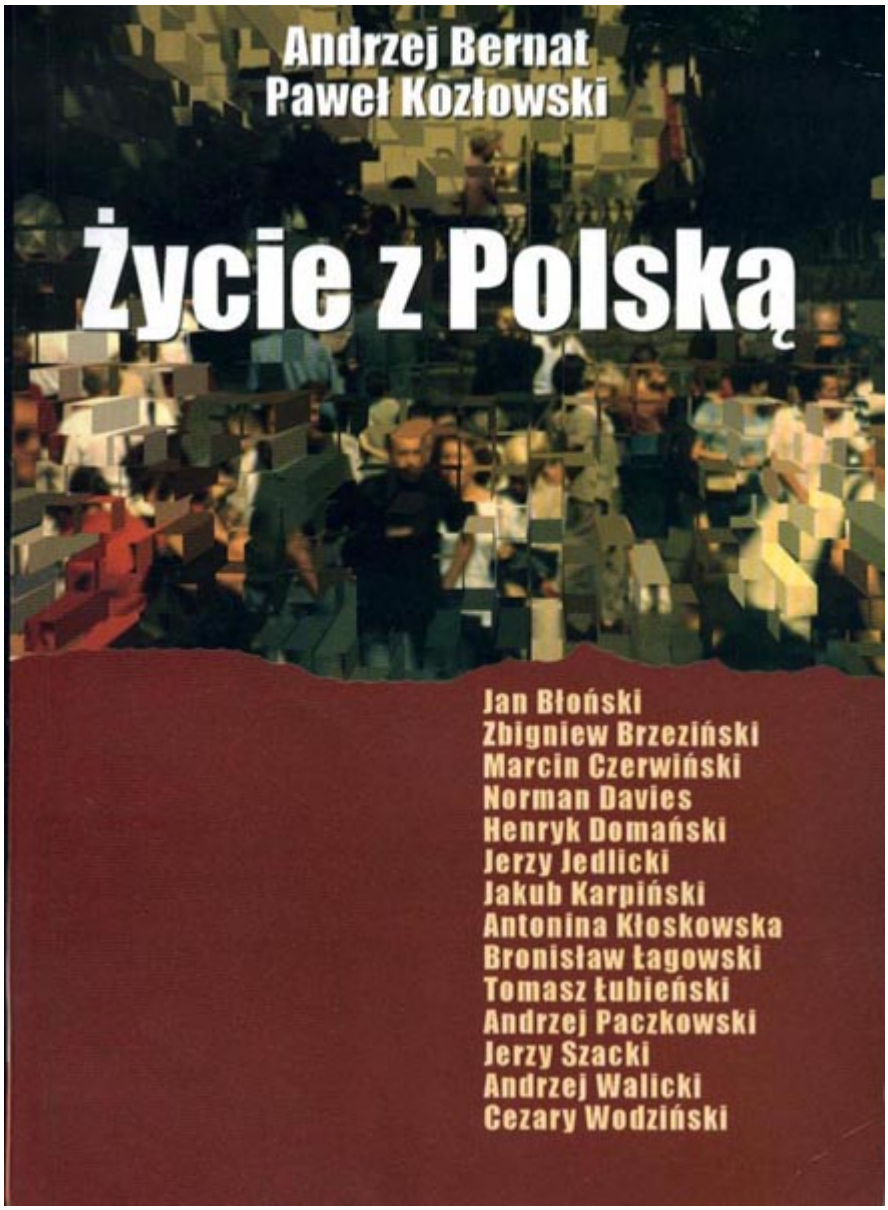
Co z tą Polską?



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Lubię czytać rozmowy z interesującymi ludźmi. Dają mi niemałe

wyobrażenie o rozmówcy, jak dalece umie odpowiedzieć krótko, prosto, wprost, czy pokrętnie. Nie ma niedyskretnych pytań, są tylko niedyskretne odpowiedzi, mawiał Churchill. Ciekawi mnie nie tylko rozmówca, ale i zadający pytania. Zdarza się, że rozmawiający przy okazji wywiadu pokazuje także własną osobę i poglądy, promuje siebie. Wolę, gdy pytania skupiają się na rozmówcy, pokazują jego pasję i opinie. W innym przypadku, jest to zapis dyskusji, i jest to zupełnie inna forma literacka niż wywiad, i inne oczekiwania. Wywiady, jak powiedział mi Radek Sikorski (który jako student na uniwersytecie w Oksfordzie dorabiał wywiadami do stypendium) mają dwa życia – pierwsze, gdy informują na bieżąco i drugie, po 10-20 latach, gdy stają się świadectwem epoki.

Nakładem ambitnego warszawskiego wydawnictwa Nowy Świat ukazała się książka Andrzeja Bernata i Pawła Kozłowskiego „Życie z Polską". Zawiera czternaście wywiadów z wybitnymi ludźmi nauki. Przeprowadzający rozmowy, Andrzej Bernat i Paweł Kozłowski są tacy, jak lubię, z zamysłu jakby wyciszeni, skierowani w całości na swojego rozmówcę. Są świetnie przygotowani, pełni erudycji i jednocześnie taktowni. Jest to książka mądra i zmusza do refleksji, do zastanowienia się, zrewidowania czasami ustalonych już poglądów, do przemyśleń. Nic dziwnego, elita intelektualna, wielcy mędrcy mówią nam o czasach im i nam współczesnych. Zastanawiają się… co z tą Polską?… Co było, co jest, i co będzie?

Rozmówcy oscylują pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, zadają pytania, jaka może być przyszłość. CEZARY WODZIŃSKI, filozof, mówi, że rzeczywistość jest zawsze kłopotliwa. Zawsze nie schematyczna, zawsze wieloznaczna i trudna.

Jeżeli chodzi o przeszłość, to jak powiedział JAKUB KARPIŃSKI, socjolog i badacz najnowszej historii Polski (zmarły w 2003 roku):

> …kiedy badamy przeszłość, pojawiają się kwestie jej oceny, ale ocena jest słowem wieloznacznym. (…) Opisując staramy się na ogół zebrać fakty, które pomagają w wyjaśnieniu, w zrozumieniu zdarzeń. (…) Opis pokazuje, że komuniści nadzorowali niemal wszelkie dziedziny życia, dbali o swoją władzę i o interesy ZSRR, zmierzali do celów związanych ze swoją ideologią. (…) Zawsze można argumentować, że ktoś inny byłby gorszy. I zwykle można kogoś takiego wskazać.

Jeżeli chodzi o lata komunizmu, Karpiński zwrócił uwagę, że nazewnictwo w tych czasach było „patriotyczno-ojczyźniane, nie komunistyczne”. I tak, w Moskwie działał Związek Patriotów Polskich, władza nazywała siebie narodową, powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, itd. Karpiński stwierdza, że:

> członek partii otrzymywał jakby polisę ubezpieczeniowa, płacąc za nią gotowością do posłuszeństwa i legitymowania władzy, ofiarowywał podległość i aprobatę, a w zamian otrzymywał większe możliwości kariery i w pewnym stopniu był chroniony.

Badacz podkreśla jednak, że były różne dziedziny, i należały do nich np. w pewnym okresie nauki społeczne, w których człowiek bezpartyjny mógł zrobić więcej, bo trudniej było na niego wywierać naciski. Wielu bezpartyjnych nie podporządkowując się ideologii, osiągało wartościowe rezultaty. Jakość ich pracy osłabiała dotkliwe cechy ustroju. Dobra robota w nauce, oświacie, kulturze była antykomunistyczna.

Podobnie zauważył JAN BŁOŃSKI, mówiąc że w kinie Wajda ział wręcz antykomunizmem i uchodziło mu to na sucho: działał przez pejzaż, ludzkie twarze, stereotypy zachowań… A jak cenzura miała skonfiskować pejzaż? Także to, co robił – równolegle do Swinarskiego – w teatrze, miało wyraźny rezonans wolnościowy.

Jan Błoński, krytyk, historyk literatury, eseista, tłumacz, stwierdził także, że po zmianach odbudowa literatury okazała się znacznie powolniejsza i trudniejsza, niż sobie to wyobrażano. Wcześniej w gruncie rzeczy ciągłość rozwoju literackiego utrzymywali (z konieczności niedoskonale) emigranci. Nie tylko

Gombrowicz, Miłosz, czyli najwięksi. I nie tylko ci, którzy się z Polską fizycznie nie rozstawali; także ci, którzy do niej wracali, jak Kuncewiczowa, Wańkowicz.

Karpiński wypowiedział się ciekawie na temat obecnych sporów publicznych, które są tak liczne i jakby oburzają wielu:

> W społeczeństwach demokratycznych spory traktuje się jako naturalne. U nas tę konieczność nie zawsze się rozumie, w czym miały udział środki masowego przekazu, piętnujące kłótnie i niepotrzebną wielość partii politycznych. Niedostateczne okazuje się zrozumienie dla pluralizmu.

Jeżeli chodzi o współczesność, JERZY JEDLICKI, historyk idei uważa, że demokracja jest ze swej natury systemem bardziej niż inne przejrzystym i ujawnia wszystkie nieprawości. Afery, korupcja, agresywność to są niestety normalne zjawiska towarzyszące początkom ustroju demokratycznego. Trzeba długiego czasu, by bardziej cywilizowane normy służby publicznej i partyjnej rywalizacji osadziły się głęboko w ludzkiej świadomości i zachowaniu.

Cały wywiad z Jerzym Jedlickim jest niezwykle interesujący. Zauważył on, że Polska od kilku wieków znajduje się w sytuacji peryferyjnej i sądzi, że przez długi czas w niej pozostanie.

> Sytuację peryferyjną – mówi Jedlicki – cechuje to, że od jakiegoś ośrodka cywilizacji więcej się przyjmuje, aniżeli oddaje. Chodzi o wzorce kultury, religie, pojęcia polityczne, technologie, obyczaje, style sztuki, literatury, budownictwa. Cechą sytuacji peryferyjnej jest również słabe wzajemne oddziaływanie między poszczególnymi peryferiami. One cały czas orientują się na centrum.

Historyk zwraca uwagę, że ogólnie nie uważa się, iż może być coś wartościowego i wartego uwagi u sąsiadów, Polak szuka w księgarni rzeczy tłumaczonych z nauki i literatury zachodniej albo polskich. Podobnie jest ze stosunkiem sąsiadów do naszej kultury. Polski bilans wymiany z Zachodem był i jest stale ujemny. Najbliższy wyrównania był w końcu piętnastego wieku. Jedna rzecz się zmieniła – to, że Polska jest już peryferią nie tyle Europy, co Ameryki. Jedlicki uważa, że gdy w Europie zacznie się wzmagać reakcja na hegemonię amerykańskiej kultury i zamerykanizowane masowej kultury Zachodu, to Polska może się znaleźć w głównym nurcie oporu, a nie na poboczu. Jednocześnie stwierdza:

> Zachodnia cywilizacja stworzyła rzeczy wspaniałe, na których trzeba i warto się wzorować, dotyczy to choćby instytucji naukowych, inwencji wynalazczej, idei demokracji.

> Ale niepokój, jeśli nie przerażenie, wywołuje nasza skłonność do zupełnie bezmyślnego zapożyczania byle czego. To małpowanie dotyczy nawet architektury: to, co się w tej dziedzinie dzieje obecnie w Warszawie budzi zgrozę.

Jedlicki uważa, że mamy kilkunastu wybitnych intelektualistów, którzy mają coś ważnego do powiedzenia o współczesności, o tym, co dzieje się w tej chwili z cywilizacją, ze światem (wymienił Miłosza, Lema, Kapuścińskiego, Kołakowskiego i wspomniał także ogólnie bez nazwisk kilku osób z kręgu katolickiego). Filozof z sympatia śledzi postawę Andrzeja Wajdy, aby ratować naszą polską kulturę.

Jedlicki stwierdza, że Polacy stracili szansę rozwoju gospodarczego, oświaty i instytucji publicznych, bo stracili wiek dziewiętnasty przez tragiczne skutki nieobliczalnych – jak mówi – powstań narodowych. Jak mówi, była to polityka samobójcza, narzucana przez garstkę szlachetnych, ale niezbyt odpowiedzialnych ludzi i konsekwencje dla polityki, gospodarki i kultury narodowej były katastrofalne. Zmarnowano całe pokolenia młodzieży, bowiem źle gospodarowaliśmy polską inteligencją. Po każdym z powstań kraj cofał się kilkadziesiąt lat. Zaborcy w odwecie zamykali szkoły, uniwersytety. Wywozili biblioteki i archiwa.

Co do peryferyjności, to pojęcie to nie oznacza – mówi Jedlicki – jakiegoś zasklepienia czy parafiańszczyzny, określa jedynie kierunek oddziaływań. Kulturze peryferyjnej brakuje siły ekspansji, ale nie oznacza, że jej wytwory i przemyślenia nie mogą mieć wartości uniwersalnych. Polska literatura i wizja historii są wciąż, z nielicznymi wyjątkami, dostrzegane w znikomym stopniu. *Czy są za mało odważne, za bardzo w sobie zamknięte, czy po prostu lekceważone – nie umiem odpowiedzieć* – konkluduje Jedlicki.

HENRYK DOMAŃSKI, socjolog, badacz struktury społecznej mówi, że największe oparcie dla demokracji stanowi u nas inteligencja. Jest nośnikiem takich wartości, jak tolerancja obyczajowa, brak przesądów.

NORMAN DAVIES – historyk i pisarz brytyjski zwrócił uwagę, że w Polsce cechą wyraźnie zauważalną jest świadomość własnej kultury. Mówi, że:

> Polacy na punkcie kategorii narodowej mają obsesję. Z czasem staną się ważne inne problemy (...) Musimy zdać sobie sprawę, że żyjemy w świecie, w którym konsekwencje naszego zachowania są o wiele większe niż kiedyś. Jesteśmy zaś tymi samymi grzesznikami jak zawsze. Jednak w cywilizacji broni nuklearnej każda mała głupota może

> prowadzić dosłownie do końca świata. Nasza odpowiedzialność dzisiaj jest o wiele większa, gdyż skutki są większe.

Davies mówi, że będąc Brytyjczykiem, inaczej musi pisać o polskiej historii dla czytelników z Ameryki Północnej, gdzie nawet wybitni intelektualiści z trudem by przytoczyli trzy fakty z przeszłości Polski, inaczej dla czytelników zachodnioeuropejskich, i jeszcze inaczej dla Polaków.

> Polska jest mikrokosmosem prądów ogólnoeuropejskich – przypomina wybitny historyk. Wszystkie prądy, czy to cywilizacyjne, czy też polityczne lub wojskowe, przez jej tereny przebiegały i zostawiały po sobie bogate ślady. Renesans i Oświecenie, romantyzm, prądy kulturalne XX wieku, chrześcijaństwo łacińskie i prawosławne, judaizm i nawet islam, konflikty narodowościowe, dwudziestowieczny totalitaryzm, wojna i zagłada – wszystko się tutaj zdarzyło.

Przywołuje lata sześćdziesiąte, gdy jako doktorant Uniwersytetu Jagiellońskiego był świadkiem różnych mądrych dyskusji, jako przybysz z zagranicy zadawał wciąż pytanie: – Co z tą Polska będzie? Wacław Felczak odpowiedział mu – Proszę pana, przetrwamy, Polacy umieją przetrwać.

Dzisiaj mamy potwierdzenie owej wiary wspaniałych Polaków. Polska przetrwała i jest wolna – konkluduje historyk.

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI, wybitny politolog, socjolog zauważył, że:

> każdy europejski naród jest mocno przeświadczony o swojej szczególnej, wyjątkowej moralnej i historycznej wyższości i czuje się urażony, kiedy inni nie wykazują należytego uznania. W ciągu dwudziestego wieku Europa popełniła przewlekle samobójstwo. Ten historyczny fakt nie został jeszcze przetrawiony, a szczególnie świadomość tego, że to nie-Europejczycy rozwiązują europejskie dylematy. Wynikająca stąd ambiwalencja europejskiej postawy wobec Ameryki jest bardzo widoczna: z jednej strony poczucie zależności i oparcia, ale jednocześnie z drugiej uraza i złość.

Zabawnie odpowiedział na pytanie:

– Czy kraje takie jak Polska czy Czechy, które były ofiarami totalitaryzmów i które pielęgnowały w swoje kulturze idee wolności, mogą wnieść w sposób partnerski w jednoczącą się Europę swoje ideały i owego ducha optymizmu? – Myślę, że już w samym pytaniu widoczny jest duży wpływ samochwalczych mitów.

TOMASZ ŁUBIEŃSKI pisarz, dramaturg, tłumacz mówi, że:

> wybrany przez nas kierunek „na Zachód” niekoniecznie musi się sprawdzać w Europie. Może być bliższy modelowi amerykańskiemu. Niestety, jeżeli chodzi o stosunek do pracy, nadal dzielą nas oceany.
>
> Mało jest u nas ruchu umysłowego wokół spraw ważnych – stwierdza pisarz – trochę zapominamy, że inni inaczej nas widzą niż my siebie. To trudna rzecz dla takiego średniego kraju jak Polska, z jednej strony utrzymać się w ramach pewnej skromności, a z drugiej zaznaczyć swoją obecność. Występują postawy albo agresywno-paternalistyczne w odniesieniu do sąsiadów, albo narzekające – Zachód nas zdradził, zawiódł, rozczarował. itd . Obie są nietwórcze i niebezpieczne. Według uproszczonej psychologii Zachodu jeżeli komuś się źle powodzi, to znaczy, że na to zasłużył. Tego nie rozumiemy, ciągle się skarżąc.

Jak wiadomo, mówi Łubieński, są narody w dużo gorszej od naszej sytuacji, również w Europie. Straciliśmy ten wątpliwy przywilej bycia najbardziej nieszczęśliwymi. W Polsce nie ma dyskusji ideowych. Jeżeli już zaistnieje jakaś polemika, to albo traktowana jest jako osobista wycieczka, albo jako atak na konkretną partię polityczną. Kategorie uczciwości intelektualnej

funkcjonują bardzo słabo.

> Nie spotkałem się w ciągu ostatniego dziesięciolecia z przypadkiem- stwierdza dramaturg – żeby ktoś przyznał rację przeciwnikowi politycznemu. Zawsze atakiem odpowiada się na atak.

Łubieński obawia się, że stracimy naszą szansę i staniemy się tylko takim gorszym Zachodem o niższym standardzie, który nikogo nie będzie interesował. Pewna ilość obywateli cieszy się z wolności i z niej korzysta. Jednak dla znacznej części społeczeństwa korzyści z niej płynące nie są wcale oczywiste. Ci ludzie dotkliwie odczuwają brak bezpieczeństwa socjalnego i publicznego, nie widzą przed sobą żadnych perspektyw.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI, filozof, badacz myśli politycznej zauważa, że polskie społeczeństwo jest ubogie w instytucje, nie przestrzega zasad gry i nie szanuje uniwersalnych zasad, które niby przyjmuje. Podobnie jak Łubieński, stwierdza, że Polska jest krajem *normalnym trochę skorumpowanym i byle jako rządzonym państwem*, i że c*hyba taka jest polska norma*.

> Okazuje się – mówi filozof – że wolność polityczną zaprowadzić jest stosunkowo łatwo, ale jak zapewnić sobie

> wolność cywilną. Od chuligana, łobuza, bandyty, złodzieja, oszusta?

Dalej ciągnie swoja myśl:

> Z ideą postępu wiązało się przekonanie o możliwościach powszechnego szczęścia, takie naiwne przekonanie. Nie w tym rzecz, że taki stan jest niemożliwy, lecz że w tym przekonaniu tkwi błąd moralny. Powszechne szczęście doprowadziłoby do degradacji moralnej. Szczęśliwi mogą być tylko niektórzy i tylko w pewnych chwilach. Wszyscy mogą być tylko nasyceni. Trudno uznać nasycenie za wielki cel ludzkości (….) Społeczeństwo demokratyczne dąży do zniesienia wszelkich różnic i nie toleruje przywileju. Tymczasem talent jest olbrzymim, wrodzonym przywilejem. Estetyka społeczeństwa egalitarnego ewoluuje w kierunku pomniejszenia roli talentu, tak by każdy mógł ubiegać się o uznanie jako twórca. I oto mamy kulturę tworzoną przez ludzi, którzy brak talentu rekompensują sobie krzykliwą ekspresyjnością, bluźnierstwem, drażnieniem wrodzonego gustu i tym podobnymi środkami.

Filozof krytykuje działalność naukowców w Polsce, która podobnie jak w innych krajach o zapożyczonej kulturze, polega

nie na bezinteresownych badaniach, lecz na spełnianiu warunków awansu. Te warunki określają ci, którzy już awansowali. Łagowski uważa, że bezsprzecznie pozytywnym zjawiskiem są uczelnie prywatne.

Na pytanie: – W jakim ustroju pan by się najlepiej czuł? – odpowiada:

-W takim, gdzie istniałaby klasa wyższa, która w celu zapewnienia swojego bezpieczeństwa i przywilejów utrzymywałaby sprawy aparat strzegący porządku publicznego.

ANTONINA KŁOSKOWSKA, socjolog, powiedziała swoim rozmówcom, że żyjąc w świecie kultury globalnej człowiek może czuć przywiązanie do tej jednej, własnej, najpełniej i najwszechstronniej znanej kultury, z której wyszedł. Takie pełne, różnostronne i emocjonalnie zabarwione przyswojenie kultury nazwała *narodową walencją kulturową*.

Przyswojenie przynajmniej częściowe kultury innej niż własna, które pani socjolog nazywa biwalencją i poliwalencją, może rozbrajać skrajny nacjonalizm. Ono oczywiście nie usunie konfliktów zrodzonych ze sprzeczności interesów, ale może przeciwdziałać totalizacji nienawiści. Jako motywacja do poznawania kultury innych narodów wydaje się to bardzo ważne.

Ludzie mogą się czuć członkami więcej niż jednego narodu. Profesor Kłoskowska nie spotkała takich przypadków, żeby odnosiło się to do więcej niż dwóch narodów. Jak przypomina, w przeszłości Polska bardzo dużo zyskiwała przez to, że była różnorodna narodowościowo. Polacy wiele czerpali od Ukrainy i w ogóle ze Wschodu. Czym byłby bez tego na przykład polski romantyzm? Inna sprawa, że to Polacy głównie korzystali. Przejmowało się pewne elementy folkloru i twórczości, ale także wyciągało zdolne jednostki, całe kategorie stanowe, które się polonizowały. Co teraz Ukraińcy, Litwini, Białorusini mają Polakom za złe. Profesor przypomina także duży wkład Żydów i Niemców w rozwój naszej kultury.

Tak przyjemnie było być Polakiem w 1989 roku, konkluduje Kłoskowska. Natomiast teraz nastąpiło znaczne rozczarowanie, gdyż większość spodziewała się pięknej, przyjemnej i łatwej przyszłości, rzeczywistość zaś okazała się trudniejsza, co na pewno osłabiło poczucie dumy narodowej.

Jest też faktem, że elementy narodowej kultury po części rozmywają się w ogromnym napływie popularnej kultury masowej. Kiedyś Antonina Kłoskowska jej broniła, bo odcięcie od kultury masowej było wtedy odcięciem od Zachodu i instrumentem narzucania niewoli. Ale już w trzecim wydaniu swojej książki o kulturze masowej zaczęła przed nią ostrzegać. Kultura masowa jest atrakcyjna, łatwa, pełna blichtru,

sensacyjna i seksowna i zagraża nawet naszej własnej popularnej produkcji kulturowej i jej odbiorowi wśród naszych kręgów.

Zapytana, czym dla niej jest polskość, pani profesor odpowiedziała:

> Polskość jest dla mnie zespołem wartości. Każda polska wieś, miasta takie jak Kraków czy Warszawa są dla mnie esencja polskości. Odnosi się to również do języka, w którym mogę się swobodnie porozumieć i wyrażać co myślę. Nie pragnę do końca określać, co jest dla mnie polskością. Dlatego, że wartości innych kultur są również bardzo mi bliskie. Polskość jest ważna, ale nie można być w niej zamkniętym. Czułabym się niesłychanie zubożona bez tamtych wartości. Na tym polega poliwalencja (...).Po zrobieniu doktoratu moi koledzy i ja recytowaliśmy fragment Fausta, kiedy on mówi, że nauka prowadzi do rozczarowań i zawodu, że jest nicością, a jednocześnie jest czymś, czego się wiecznie szuka.

ANDRZEJ WALICKI filozof i historyk idei, swoim rozmówcom zwraca uwagę na inny temat. Przypomina, że był rusycystą, więc perspektywa rosyjska niesłychanie mocno w jego pracach tkwi. Uważa, że co najwyżej tylko największe ekscesy stalinizmu w Polsce mogą być porównywalne z tym zniewoleniem i

unikatowym okropieństwem ustroju totalitarnego, z jakim ludzie sowieccy mieli do czynienia znacznie dłużej. Dlatego obecnie Walicki jest mniej wyczulony na przewiny i usprawiedliwienia tych czy innych osób, które działały w sytuacji, kiedy to zło było znacznie bardziej zrelatywizowane.

> Można się śmiać – mówi uczony – ze wszystkich, którzy twierdzili, że wstąpiwszy do partii spełniają role Wallenrodów i zbawiają Polskę. Ale nie można przesadzać w przeciwnym kierunku, nie można zakładać skrajności. Że ktoś, kto wstąpił do partii w czasach Gierka, chciał w Polsce budować komunizm.

Najlepszych przedstawicieli polskiej inteligencji Walicki ocenia bardzo wysoko i z przykrością, jak mówi, stwierdza, że będąc w Ameryce nie napotkał tam takich ludzi. Intelektualiści amerykańscy są tak zajęci swoimi karierami i sprawami ściśle zawodowymi, że znacznie ustępują szerokością sądu, taką wszechstronnością być może XIX wieczną.

ANDRZEJ PACZKOWSKI, historyk, badacz dziejów PRL, zauważa, że trudno wyłączyć sferę doświadczeń osobistych w badaniach dziejów najnowszych. Sfera wolności, która po 1989 roku została dana, albo odzyskana, i o której się przedtem marzyło, albo o nią walczyło, o której się nie myślało, ale jak

przyszła, to się z niej korzysta, dotyczy bardzo wielu ludzi. To, co się stało, jest dla niego triumfem. Jest tym, o co mu chodziło.

JERZY SZACKI, historyk idei podkreśla, że podstawowym postulatem przyzwoitych liberałów jest, żeby państwo było ograniczone; żeby robiło tylko to, co jest absolutnie niezbędne, nie starając się regulować całego życia społecznego. W krajach podzielonych religijnie, etnicznie, politycznie, itd., jak np. Stany Zjednoczone, przyjęcie takiego punktu widzenia było całkowicie naturalne. Są różni ludzie, są rozmaite filozofie i recepty na życie, i nikt nie ma podstaw, aby twierdzić, że tylko on ma racje. Trzeba zapewnić wszystkim obywatelom maksimum praw i możliwość pokojowego współżycia. Państwo musi być neutralne, gdyż inaczej stałoby się źródłem konfliktów i niepokoju.

Ale jest zupełnie oczywiste, że o ile państwo może i powinno być neutralne, o tyle żaden człowiek z osobna, także liberał, neutralny nie jest. Pojedynczemu liberałowi zupełnie nie jest wszystko jedno, która religia jest słuszna, a która nie, i czy w ogóle religia jest słuszna, czy też jej odrzucenie. Ale sądzi on, że są inne tereny poza państwem, gdzie poszczególne systemy wartości mogą zdobywać poparcie społeczne. I właśnie to w skrócie określa jako społeczeństwo obywatelskie.

Profesor Szacki mówi, że z biegiem lat zrobił się bardzo proamerykański. Wprowadził jednak zastrzeżenie, że

niekoniecznie oznacza to uznanie dla amerykańskiego liberalizmu, gdyż w Stanach to słowo oznacza coś innego. Dużo rzeczy sympatycznych znalazłoby się w Anglii, w Szwajcarii. W Niemczech, mniej już we Francji, zauważa historyk.

Jedną z głównych czynności intelektualistów – stwierdza Szacki, była zawsze samokrytyka i wykazywanie, że nie stoją na wysokości zadania, że są oderwani od tego, czym żyje naród, itd. Intelektualiści zawsze zajmowali się analizą swojej sytuacji pod tym kątem i wzajemnie się oskarżali o to, że swoich czasów i swojego społeczeństwa nie rozumieją.

> Nie mam zbyt wygórowanych wyobrażeń o możliwościach intelektualistów i ich misji w społeczeństwie. To nawet bardzo niedobrze, jeśli wyobrażają sobie oni, że to właśnie do nich należy wskazywanie drogi. Oni są od komentowania – konkluduje profesor Szacki.

Polecam książkę Andrzeja Bernata i Pawła Kozłowskiego „Życie z Polską" wszystkim myślącym z troską o kraju. Zostawi wrażenie, pobudzi twórczo i wzbogaci o cenne przemyślenia.

Andrzej Bernat, Paweł Kozłowski „Życie z Polską", Wyd.Nowy Świat, Warszawa 2004 r., 214 stron, zdjęcia.

Tekst ukazał się w „Przeglądzie Polskim” – dodatku „Nowego Dziennika” (Nowy Jork, 9 września 2005), „Teraz” (Filadelfia, maj 2005), „Liście oceanicznym” – dodatku ”Gazety” (Toronto, maj 2005). Mimo upływu lat wciąż jest aktualny.

Poza gniazdem. Polskie emigrantki w Kanadzie.

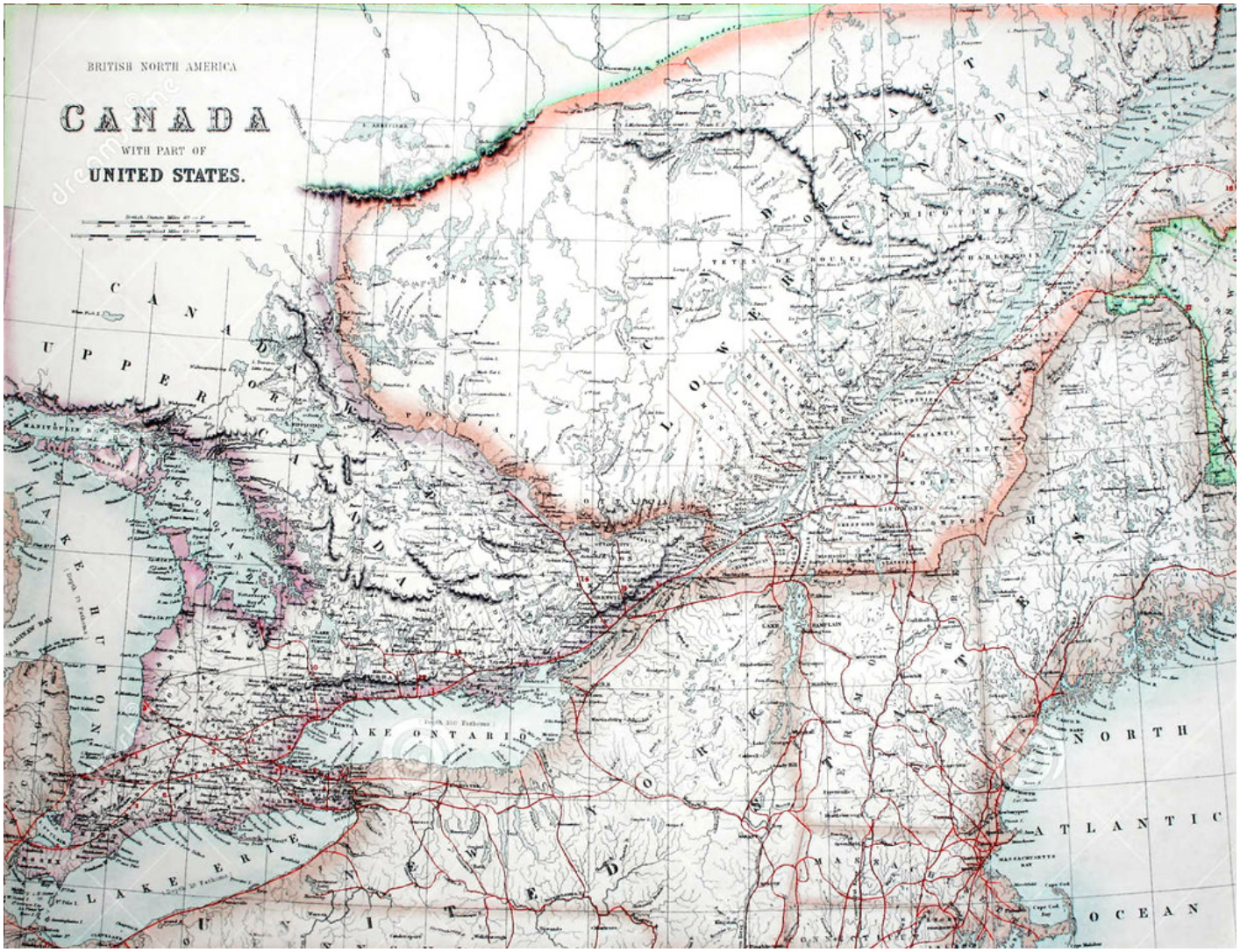


Kaszuby, Ontario, Kanada.

Anna Maria Jarochowska

Kanadyjski kraj pionierów, do którego płynęła większość polskich żon i narzeczonych w początkach XX wieku był przede wszystkim krajem mężczyzn. To oni stanowili dominującą większość mieszkańców nowo zakładanych miast i miasteczek, oni w pojedynkę lub grupami przybywali z Kanady wschodniej i ze Stanów Zjednoczonych, aby robić biznes, zakładać przedsiębiorstwa, organizować administrację miejską, otwierać nowe tereny pod osadnictwo, pracować w kopalniach, w transporcie, w obozach drwali… Oni nadawali styl pracy, ogólną atmosferę podniecenia możliwościami

zrobienia dużych pieniędzy w krótkim czasie, oni otwierali nowe tereny i budowali koleje. Oni też nadawali charakter rozrywce istniejącej wówczas w Kanadzie zachodniej. Dla nich powstawały *saloons, pubs i bars* jak grzyby po deszczu, gdzie wyszynk legalnego i nielegalnego alkoholu i burdy pijackie należały do zwykłych widoków, a spotkanie pijanych na ulicach nie było rzadkością. Poza pracą pito często i dużo i to było najczęstszą rozrywką po miastach i osiedlach. W *saloons i barach* było także sporo kobiet lekkiego prowadzenia, kwitła specyficzna prostytucja, typowa dla pionierskich obszarów Ameryki północnej. Sam fakt, że było znacznie więcej mężczyzn niż kobiet i że tysiące samotnych młodych mężczyzn nieustannie wędrowało po kraju, w którym ciężka praca fizyczna przeplatała się z okresami wolnego czasu, świąt, lub bezrobocia sprzyjał rozwojowi prostytucji. Kanada na zachód od Winnipegu długo była jeszcze tak dzika i pionierska, że wielu mężczyzn miesiącami, a nawet zdarzało się – latami, nie widziało białych kobiet w miejskim stroju. Nagłe pojawienie się sylwetki kobiecej w obowiązkowym kapeluszu i w rękawiczkach wzbudzało więc sensację.



Przybywające imigrantki nie liczyły się. Nie tylko były biedne i natychmiast zabierane przez mężów do przygotowanych domów, niezależnie od tego, czy to były istotnie domy czy też ziemianki. Nie znały języka, były niepewne siebie, dziwacznie, nie po kanadyjsku ubrane i nie znały lokalnego *savoir vivre*. (...) Samotni imigranci zabiegali o żony w rozmaity sposób. Najczęściej pisali listy do dziewcząt znanych im jeszcze w Starym Kraju proponując sponsorowanie ich przyjazdów i małżeństwo. Tak powstało znane w ówczesnej Kanadzie i Europie określenie *mail order bride* (narzeczona z przesyłki

pocztowej), która często mało, a nawet wcale nie znając swego narzeczonego natychmiast po przybyciu do Kanady brała z nim ślub i wyruszała na jego „farmę". Ile było nieporozumień, ile niedobranych małżeństw i zawiedzionych nadziei wynikających z tej formuły małżeńskiej, nikt nie dociekał. Podobnie jak nikt nie pytał kobiety, świeżo przybyłej z polskiej wsi, stającej przed *dugout* (ziemianką), która odtąd miała być jej domem; czy w tym prymitywie poradzi sobie z życiem i wychowaniem dzieci. Wiadomo jednak, że niektóre kobiety nigdy nie potrafiły się otrząsnąć z pierwszego szoku i razem z mężem pracować nad wspólną przyszłością. Związane z obcym sobie mężczyzną, w obcym i przerażająco prymitywnym buszu, miesiącami zupełnie samotne w swoich lepiankach czasami uciekały same nie wiedząc dokąd, czasami po prostu marły z głodu i wycieńczenia. (...) Przedmiotem łowów małżeńskich była każda dziewczyna, które pokazała się w preriach. Wielu mężczyzn uważało, że córki osadników preriowych były lepszym materiałem na żony, ponieważ znały już pionierskie *dugouts, sodhouses, shacks, shanties i bunkers* i potrafiły sobie radzić z niejedną robotą nieznaną, a nawet niewyobrażalną w Polsce. (...) Pierre Berton cytuje jako przykład rozmowę między zamożną i wykształconą Angielką Ellą a Constance Sykes, wystarczająco ekscentryczną, aby z ciekawości próbować przekonać się jak się naprawdę żyje kobietom na preriach kanadyjskich. Już podczas podróży statkiem do Kanady Ella Sykes dowiadywała się o trudnościach ich życia. Jedna z bogatych farmerek

powracających z wizyty w Starym Kraju, opowiedziała jej swoją historię:

> Pamiętam, że pytałam go o kolor tapety w naszej sypialni, ponieważ chciałam dobrać odpowiedni zestaw w łazience. On to pytanie wtedy zbył, ale nigdy nie zapomnę moich uczuć, kiedy zobaczyłam, że nasz dom to po prostu jednoizbowa drewniana chałupa kurtyną podzielona na dwie części i oczywiście bez żadnej tapety. To był straszny szok dla mnie. Ale teraz, kiedy jesteście bogaci, twoje życie jest znacznie łatwiejsze – zapytała panna Sykes. Odpowiedź zdumiała ją. – Miałam mniej roboty kiedy zaczynałam moje małżeńskie życie jako biedna kobieta aniżeli mam teraz. Mówi się, że pasją farmera jest ciągłe dokupowanie ziemi. Oni są temu gotowi wszystko poświęcić i dom i jego komfort nic dla nich nie znaczą. Mój mąż kupuje każdy akr, który może dostać i oczywiście zatrudnia najętych robotników do pracy na roli. A im więcej jest robotników, tym więcej roboty ma kobieta…



Maria i Antoni Andrzejewscy spacerują na ulicy w Edmonton (5 maj1950 r.), fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.



Czesława Kudela (w środku) z matką i ojcem. Z tyłu stoi siostra Maria, fot. Kanadyjsko-Polskie Towarzystwo Historyczne, Edmonton, Kanada.

W lecie 1940 r., jako pierwsza przybyła do Kanady grupa 18 polskich kobiet i dzieci złożona z rodzin najwyższych oficerów polskich sił zbrojnych oraz kilku dyplomatów. W krótkich odstępach czasu podążyły za nią dalsze grupy uchodźców polskich, zawsze związane z generalicją i polskimi elitami. Wszyscy oni otrzymali pozwolenia na tymczasowy pobyt w Kanadzie, aż do zakończenia wojny, po czym rząd kanadyjski oczekiwał ich powrotu do Polski. (…) W pierwszych dniach po przybyciu do Montrealu grupa nowo przybyłych Polek z dziećmi dowiedziała się, że zgodnie z zasadą *„pomóż sam sobie, a Bóg ci*

pomoże” w Kanadzie nie czeka na nie żadna zorganizowana pomoc, i że po krótkim pobycie u zakonnic na przedmieściu Montrealu, muszą sobie same znaleźć mieszkanie i pracę zapewniającą im przeżycie pierwszej kanadyjskiej zimy. Na szczęście bogate żony montrealskich notabli prawie natychmiast zainteresowały się *egzotycznymi uchodźcami z Europy, których mężowie tak dzielnie walczą u boku W. Brytanii* i Kanadyjski Narodowy Komitet do Spraw Uchodźców zawiązany jeszcze w 1938 r., w celu niesienia pomocy Czechom, Słowakom, a przede wszystkim Żydom uciekającym przed Hitlerem, zajął się z kolei Polkami. Komitet był charytatywną organizacją pozarządową założoną i finansowaną przez bogatych montrealskich przedsiębiorców i handlowców i dawał upust energii bogatym Kanadyjkom, którym presja społeczna owego czasu nie pozwalała na żadne zajęcie poza domem oprócz działalności charytatywnej. Właśnie ten Komitet znalazł rozwiązanie problemu dachu nad głową w postaci wielkiego, pięknego niezamieszkałego domu w Westmount, wówczas najbogatszego z miast konurbacji Montreal. (…)

Po zakończeniu wojny, w maju 1945 roku, polscy uchodźcy wojenni w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych z dnia na dzień przekształcili się w pierwszą masową polską emigrację polityczną na kontynencie północno amerykańskim. (…) Imigranci napływający do Kanady dzielili się regionalnie na dwie grupy. Przedstawiciele polskiego świata politycznego,

intelektualnego i artystycznego, arystokracja oraz liczni ziemianie, którzy mieli już przyjaciół lub krewnych w Kanadzie wschodniej starali się pozostać w ich pobliżu, a szczególnie w Montrealu lub Toronto. Natomiast zdemobilizowani żołnierze i oficerowie bez prywatnych sponsorów kierowani byli przez władze kanadyjskie do prowincji zachodnich. Stąd wytworzyły się dwie grupy o różnych doświadczeniach imigracyjnych i o różnej dynamice życia. (…) Maria A. Jabłońska, matka znanego kanadyjskiego pianisty, Marka Jabłońskiego (urodzonego w Polsce na początku wojny) tak zaczyna opowieść o początkach życia ich rodziny w Kanadzie:

> Wylądowaliśmy w Kanadzie w 1949 roku i zaraz jechaliśmy prosto do Edmonton, gdzie przyjaciel mego męża załatwił nam pracę jako pomoc na farmie. Oboje z mężem mieliśmy wykształcenie uniwersyteckie, ale tutaj to nic nie znaczyło. W tamtych czasach nie było możliwe uzyskanie imigracyjnej wizy kanadyjskiej bez podpisania kontraktu pracy na farmie albo w przypadku kobiet – służącej. Nawet trzy doktoraty nic by w tym zakresie nie zmieniły. Wprost przeciwnie, mogłyby się przyczynić do zrujnowania szansy otrzymania wizy. Dlatego najlepiej było udawać zwykłego robotnika. Kanada nie chciała przyjmować ludzi wykształconych poza jej granicami, więc lepiej było nie przyznawać się do wyższego wykształcenia. Po kilku latach

> nagle przepisy zostały zmienione i głoszono potrzebę ludzi wykwalifikowanych w każdym rodzaju profesji i zawodu. Niestety dla nas ta zmiana przyszła za późno. Granice wieku przy przyjmowaniu do pracy w specjalności mego męża były ustalone i on był już za stary. Niemniej byliśmy szczęśliwi, że nie potrzebowaliśmy już pracować dla naszego farmera.

Dla rodzin, które zamierzały pozostać w Quebec'u, gdzie było dużo opuszczonych farm, był też możliwy wariant osadzenia na opuszczonej farmie. Farmy te położone zazwyczaj daleko od miast, na terenach nie najwyższej jakości były przeważnie w ruinie. Bez inwentarza żywego, bez elektryczności i często bez wody bieżącej były tak nieatrakcyjne dla Kanadyjczyków, że rząd umyślił osadzać na nich rodziny emigrantów, którzy byliby obowiązani pracować na nich do pięciu lat zanim gospodarstwo przeszłoby na ich własność z prawem ewentualnej sprzedaży. W ten sposób farma zostawała jako tako zagospodarowana, a rząd federalny zostawał zwolniony z odpowiedzialności za przeżycie pierwszych lat przez imigrancką rodzinę. Taką właśnie farmę w Abercorn otrzymała jako środek do życia rodzina hr. Zamoyskich, którzy chociaż w przedwojennej Polsce mieli ordynację rolną i rozległe dobra, ale przecież nie mieli pojęcia o tym jak się osobiście pracuje na roli. Mimo to na farmie w Abercorn przeżyli kilka lat zanim zdołali się przenieść do Montrealu, gdzie Jadwiga Zamoyska jako jedna z pionierek

polskiego sobotniego szkolnictwa poświęciła wiele lat swego życia. (...) Z podobnych „okazji" nabycia farmy na własność skorzystali niektórzy, bardziej profesjonalnie przygotowani ex-wojskowi z Armii Polskiej na Zachodzie, szczególnie jeśli ich żony były gotowe żyć i pracować na farmie. W Quebec'u na kilku takich farmach rozwinęli oni gospodarstwa specjalistyczne, inne zostały zamienione w przedsiębiorstwa agroturystyczne. (...) Rotmistrz Janusz Wiązowski zmienił swoją farmę w szkołę hippiczną dla młodzieży quebeckiej. Innym przykładem sukcesu połączenia rolnictwa z turystyką była założona przez małżeństwo T. Lintnerów „gospoda na wsi" – *lodge* dla gości z Montrealu. W pięknej okolicy *L'Estrie* pod miasteczkiem *Sutton* można było spędzić na niej *weekend* lub dłuższe wakacje. Jeszcze innym przykładem była farma pułkownika Wacława Makowskiego w okolicy Covey Hills, w nie mniej malowniczej, południowo-zachodniej części Quebec'u. Jeszcze innym przykładem jest osiągnięcie Władysława Żebrowskiego, który znalazł swoje miejsce w Kanadzie nad Pacyfikiem. Zamieszkał on samotnie na górze Whistler położonej w pobliżu Vancouveru. Przejęty wspaniałym widokiem i doskonałymi warunkami dla zimowej turystyki namówił kilku znajomych inwestorów do zagospodarowania części góry Whistler jako ośrodka narciarskiego. Pomysł okazał się niezwykłym sukcesem i Whistler stał się znanym międzynarodowym ośrodkiem turystycznym na zachodnim wybrzeżu Kanady. (...)



1 kwietnia 1969 rok, emigracja do Kanady.

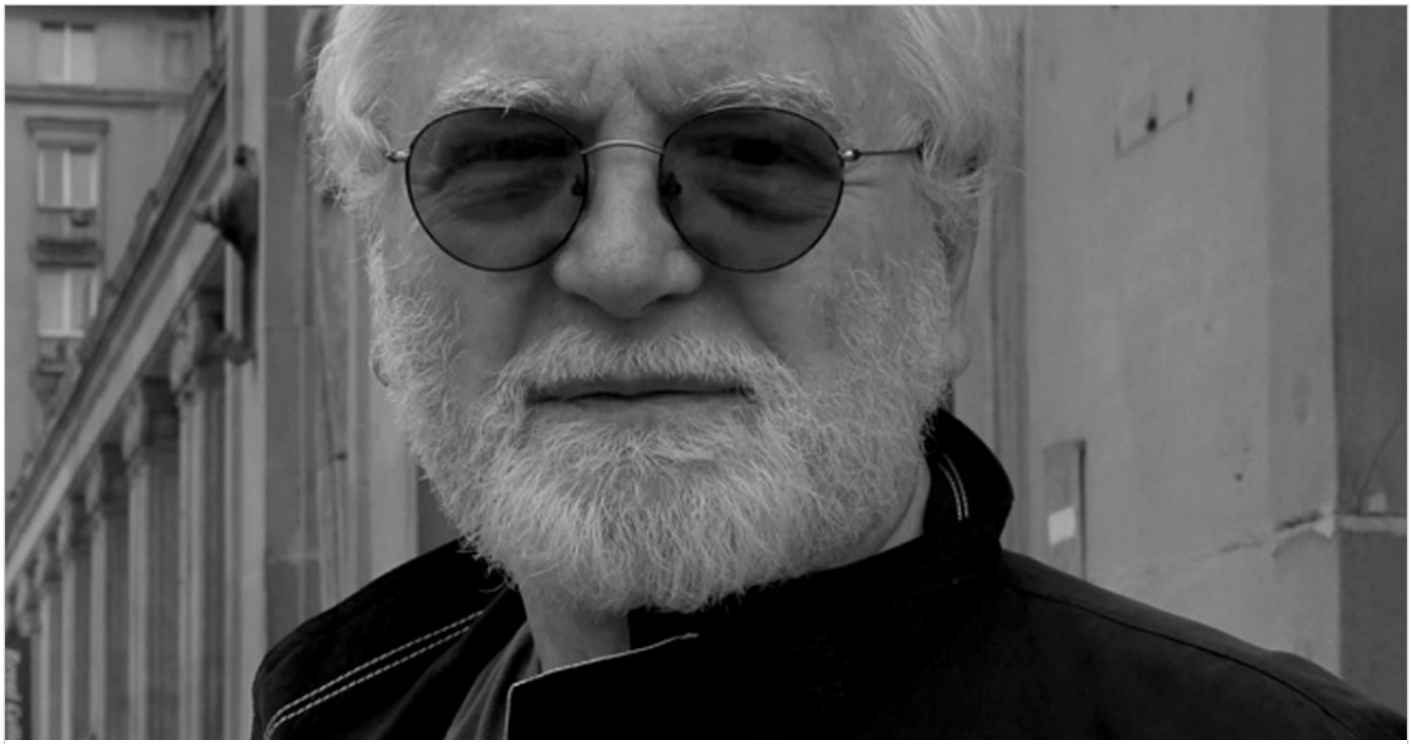
Pierwsze lata powojenne ciężko przeżywane przez polskich uchodźców były także trudne dla polskich artystów, którzy wówczas przybyli do Kanady. Ale wraz z gospodarczą *prosperity* i nową formułą społeczną, poprawiała się i dola artystów imigrantów. (...) W latach sześćdziesiątych polscy malarze podobnie jak wszyscy inni „artyści – etnicy" wyraźnie zmierzali ku lepszemu. Ich *vernisages* były licznie odwiedzane, częściej wystawiali swoje prace w galeriach i byli opisywani w gazetach. To samo dotyczyło innych gałęzi sztuki jak ceramika, produkcja kilimów, gobelinów itp. Od chwili kiedy Kanada

znalazła własną formułę społeczną i kulturalną, każda forma artystycznego wyrażania się Kanadyjczyków zarówno jak i neo-Kanadyjczyków lub imigrantów, którzy jeszcze nie otrzymali obywatelstwa kanadyjskiego, była uznana za twórczy wkład w kulturę kanadyjską. Znalazło to swój wyraz w ilości artystów przyjmowanych do Kanady jako emigrantów. (...) Od lat powojennych wykształcone Polki były dla niektórych Kanadyjczyków swoistą atrakcją seksualną. Jak wyraził to pewien wyższy urzędnik rządowy *...jeszcze nigdy nie spałem z kobietą, która ma doktorat i jestem bardzo ciekaw takiego przeżycia...*

Fragment książki „Poza gniazdem: wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku", Polski Instytut Naukowy w Kanadzie 2006.

Andrzej Krakowski,

autor Pollywood: Żyjemy w ich snach.



Andrzej Krakowski, fot. archiwum prywatne.

O nostalgii za Wrocławiem, trudach emigracji, zajęciach z Hitchcockiem i okolicznościach powstania książek o polskich korzeniach Hollywoodu, ze znanym reżyserem, scenarzystą, pisarzem i wykładowcą, Andrzejem Krakowskim, rozmawia Barbara Lekarczyk-Cisek.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Spotykamy się we Wrocławiu, gdzie promuje Pan swoje książki: ”Pollywood”, opowiadające o tym, że Hollywood stworzyli głównie polscy emigranci. Ale tych poloników jest znacznie więcej. Podobno Pański ojciec urodził się właśnie tutaj – w stolicy Dolnego Śląska?

Andrzej Krakowski: Tak, mój ojciec urodził się we Wrocławiu, kiedy jeszcze to miasto nosiło nazwę Breslau. Także moja żona pochodzi z Wrocławia. Ja sam jestem związany z tym miastem uczuciowo. Między 1956 a 1968 rokiem ojciec *[Józef Krakowski – przyp. B.L.-C.]* był szefem produkcji zespołu Forda, a następnie ”Kamera”, a ponieważ nie lubił Warszawy, wiele filmów realizował we Wrocławiu, m.in. filmy Wojciecha Jerzego Hasa, ”Nóż w wodzie” Romana Polańskiego. Bardzo lubiłem z nim przyjeżdżać, bo to miasto żyło jakimś innym życiem. Brakowało mi świata, który chciałem poznać, a który zniszczyła wojna. W tamtym czasie Wrocław to jeszcze m



Ojciec Józef Krakowski (z lewej) na planie Noża w wodzie z Romanem Polańskim, fot. Filmoteka Narodowa.

ział, podobnie Łódź. Po latach, kiedy miałem możliwość przyjechać do Polski w 1986 roku, wróciliśmy właśnie do Wrocławia. I oczywiście kręciłem tu filmy.

BLC: Czy to ojciec sprawił, że zainteresował się Pan filmem?

AK: Nie, przeciwnie – ojciec bardzo nie chciał, abym zajmował się filmem. Kiedy po maturze złożyłem papiery do szkoły filmowej w Łodzi, bardzo się zdenerwował. Uratował mnie fakt, że pięciu uczniów z mojej klasy wyselekcjonowano na studia dyplomatyczne do Moskwy, w rezultacie czego ojciec uznał, że już lepsza od tego jest szkoła filmowa.

Filmem zaraził mnie Andrzej Munk, który był zaprzyjaźniony z ojcem i całą naszą rodziną. Kiedy zabierano mnie na spacery do Lasku Bielańskiego, a ja bez przerwy gadałem, to Andrzej kładł mi palec na usta i mówił, abym powiedział to wszystko jednym słowem. W ten sposób uczył mnie nie tylko pewnej ascezy, ale również estetyki ironii. To we mnie pozostało, a ironia przekradła się również do moich książek.

Z perspektywy lat lepiej rozumiem, dlaczego ciągnęło mnie do filmu. Kiedy wprowadzono religię do szkół, zaczęto nas, nie biorących udziału w zajęciach, szykanować. Będąc na planie filmowym u Munka (”Zezowate szczęście”) oraz Nasfetera (”Małe dramaty”), zwróciłem uwagę na to, że reżyser tworzy własny model świata. Pomyślałem wtedy, że dobrze by było stworzyć taki własny świat, w którym by mi nikt nie dokuczał, szczególnie że byłem rudy, mały i na dodatek Żyd *(śmiech*). W tym świecie panowałoby dobro.

BLC: Chciał Pan w gruncie rzeczy reżyserować swoje życie, by

mieć na nie wpływ…

AK: Tak, chciałem mieć na nie wpływ.

BLC: Studia to bardzo ważny okres w życiu młodego człowieka zetknął się Pan z wieloma indywidualnościami. Kto w tamtym czasie był Pana mistrzem?

AK: To się właściwie zmieniało. Na pierwszym roku był Jerzy Passendorfer, który nas szybko zagnał do pisania scenariuszy, bo już wtedy miał zamiar kręcić film o Janosiku. Podobno sporo naszych pomysłów weszło potem do tego filmu.

Na drugim roku naszym opiekunem był Stanisław Różewicz, na trzecim – Andrzej Wajda, a na czwartym Janusz Morgenstern. Każdy przynosił ze sobą bagaż swoich doświadczeń, przeżyć i snów. Wajda, u którego odbyłem staż asystencki przy ”Popiołach”, był cudowny. Dzięki niemu wiedzieliśmy na przykład jak wywieść w pole cenzurę.

Już na początku studiów Stanisław Wohl polecił nam napisać na kartkach, jakie kino chcemy tworzyć za dziesięć lat. To miało być nasze credo artystyczne. Dokładnie pamiętam, co wówczas napisałem, a mianowicie, że fascynuje mnie los człowieka postawionego wobec wyborów, z których żaden nie jest dobry. Kiedy teraz patrzę w pewnej perspektywie na moje filmy,

dostrzegam w nich tę myśl, którą wówczas zapisałem.



Józef Krakowski z Wojciechem J. Hasem podczas kręcenia „Lalki”, fot. Filmoteka Narodowa.

BLC: Kiedy ukończył Pan szkołę filmową, otrzymał stypendium do USA, ale ten wyjazd okazał się bardzo brzemienny. Kiedy bowiem już Pan znalazł się w Stanach – był rok 1968 – okazało się, że odebrano Panu obywatelstwo i możliwość powrotu do

Polski. Jak wyglądało Pańskie życie w tym momencie, gdy trzeba było zacząć wszystko od nowa?

AK: Miałem wprawdzie w Stanach przyjaciół, m.in. Romka Polańskiego, który mi bardzo pomógł. I to w sposób bardzo mądry. Wszystko to jednak było rozciągnięte w czasie i trwało parę lat. Roman nie uległ namowom mojego ojca, który chciał, abym pracował z Polańskim, wiedząc, że taka zależność nie skończyłaby się niczym dobrym. Obiecał mi natomiast, że kiedy zacznę robić swój pierwszy niezależny film, wówczas przedstawi mnie szefom studiów filmowych. I tak się stało.

W tym czasie znalazła się ze mną na emigracji moja młodsza siostra, wtedy tuż przed maturą. Musiałem więc zacząć pracować, aby utrzymać ją, a wspomóc także ojca, który znalazł się bez pieniędzy we Frankfurcie. Miałem co prawda w Los Angeles rodzinę ze strony ojca, ale oni stosunkowo szybko umyli ręce. Myśmy byli już innymi emigrantami niż oni: lepiej wykształceni, wiedzieliśmy więcej o świecie, szybko nauczyliśmy się języka (zwłaszcza siostra). Kuzyn pomógł mi załatwić pracę w fabryce produkującej półki, znacznie oddalonej od miasta. Komunikacja była bardzo zła, więc nie mając samochodu musiałem liczyć na to, że podwiezie mnie właściciel. W rezultacie często sypiałem na… półce w fabryce. Ale gdy się ma – jak ja wówczas – dwadzieścia jeden lat, jest się niezniszczalnym i najmądrzejszym.

Kiedy więc robiąc dobrą minę do złej gry, naprawiłem zepsutą prasę hydrauliczną, awansowałem do roli kierowcy dużej ciężarówki. Było to duże wyzwanie, bo na początku nie miałem żadnego doświadczenia. Po opuszczeniu terenu fabryki, kiedy znikłem z pola widzenia szefa, zadzwoniłem do Marka Hłaski, który mieszkał wówczas w Hollywood i sporo drinkował. Upłynęło trochę czasu, zanim zrozumiałem jego instrukcje. Prowadziłem ciężarówkę przez trzy miesiące i nie zdarzył mi się żaden wypadek, nie dostałem żadnego mandatu. Bardzo się wtedy pociłem, ale funkcjonowałem *(śmiech).*

BLC: Na szczęście zmagał się Pan z tą materią dość krótko. Co było dalej?

AK: W Los Angeles spotkałem dwóch ludzi, których poznałem w Warszawie: Henryka Warsa i Bronisława Kapera. Ojciec znał Warsa jeszcze z Armii Andresa, więc namówił mnie na spotkanie z nim. Okazał się bardzo serdeczny, ale niestety nie był w stanie mi pomóc. Skierował mnie do Bronka Kapera, który był wówczas jednym z szefów Akademii Filmowej i miał rozliczne znajomości. Ten jednak odmówił mi pomocy. Minęło sporo lat i stosunki między nami uległy poprawie, a nawet zawiązała się przyjaźń, ale na początku tak to wyglądało. Polański był w tym czasie w Londynie, a Krzysztof Komeda już nie żył.

Traf chciał, że na występy do Los Angeles przyjechała Ida

Kamińska i kiedy poszedłem się z nią przywitać, zostałem przedstawiony siwemu, dystyngowanemu panu, mówiącemu piękną polszczyzną, którym okazał się wybitny przedwojenny reżyser – Józef Lejtes. Zaopiekował się mną i poznał z innymi reżyserami. Poza tym dopingował mnie do nauki i mimo zmęczenia, mobilizowałem się. W pewnym momencie dostałem się do Amerykańskiego Instytutu Filmowego, który – o czym mało kto wie – został zorganizowany przez prof. Stanisława Wohla, któremu trzy miesiące przed otwarciem uczelni skończyła się wiza, więc wrócił do Polski. Ściągnięto wtedy Franka Daniela z czeskiej szkoły filmowej i powstanie uczelni przypisano Czechom.

BLC: Jak wyglądały studia w Amerykańskim Instytucie Filmowym? Kto Pana uczył? Podobno wśród wykładowców był także sam Alfred Hitchcock?

AK: Spotkania z Hitchcockiem wyróżniały się spośród pozostałych zajęć. Milos Forman i John Cassavetes unikali pomieszczeń, a ponieważ szkołę otaczał olbrzymi ogród, w nim odbywaliśmy zajęcia, siedząc pod drzewami. Hitchcock – przeciwnie, zdecydowanie wolał zamknięte pomieszczenia, a w dodatku zakazywał otwierania okiem albo drzwi balkonowych. Panowała absolutna cisza. Sam reżyser ubrany był zawsze w garnitur, do którego nosił krawat. Siadywał w wielkim fotelu i patrzył na nas bardzo przenikliwie i poważnie, podczas gdy myśmy truchleli. Co więcej, z szacunku dla niego ubieraliśmy się

również lepiej niż zwykle, za wyjątkiem Davida Lyncha, który wszystko robił na opak. Na zajęcia z Hitchcockiem ubierał jeansy i słomkowy kapelusz i mistrz zawsze patrzył tylko na niego. Z kolei na zajęcia do Cassavetesa i Formana przychodził ubrany w garnitur i znowu przyciągał wzrok.

Hitchcock zazwyczaj przynosił nam sceny, pochodzące głównie z jego programu telewizyjnego i przy okazji dawał świetne lekcje. Jedną z takich scen przygotowywał mój kolega Mike Murphy, który wszystko dokładnie poustawiał. Kiedy Hitchcock zapytał go, gdzie ustawi kamerę, wybrał miejsce twierdząc, że stamtąd będzie najlepiej widać. Na to mistrz bardzo się zdenerwował, nakrzyczał na Mike`a i wyrzucając mu, że nie ma żadnej wizji, kazał mu opuścić salę. W taki oto gwałtowny sposób nauczył nas, że filmu nie robi się dlatego, że coś dobrze widać. Reżyser musi dokonać wyboru i wiedzieć, czego chce. Mimo gwałtownego charakteru, miał zawsze na swoich zajęciach komplet słuchaczy.



Andrzej Krakowski, fot. mat.prasowe.

BLC: Pański wyjazd do Stanów, ze względu na jego okoliczności, przywiódł mi na myśl historię biblijnego Józefa, którego bracia sprzedali do Egiptu. Gdyby nie Pan, te książki, w których zawarł Pan historie Polaków – pionierów przemysłu filmowego, a także artystów, nie powstałyby. W którym momencie doszedł Pan do wniosku, że powinna powstać książka przybliżająca sylwetki ludzi o polskim rodowodzie, którzy stworzyli Hollywood?

AK: Na początku przeżywaliśmy gniew, ból i mówiliśmy już tylko po angielsku, próbując odciąć się od polskich korzeni. Widzieliśmy przy tym domy Warsa i Lejtesa, gdzie pielęgnowało

się język polski i czuło się dumę z faktu bycia Polakami. Zrozumiałem po pewnym czasie, że od tego nie można uciec. Nie ma łatwych emigracji. Moja siostra została programistką i świetnie sobie dawała radę, ja jednak byłem skazany na język, na inną mentalność i kulturę i było mi bardzo ciężko.

Bezpośrednią iskrą, która sprawiła, że podjąłem się napisania książek, był przyjazd Maćka Putowskiego – scenografa, który na polecenie Muzeum Kinematografii szukał w Stanach eksponatów na wystawę na stulecie kinematografii. Zapytał mnie o filmowców amerykańskich o polskich korzeniach. Kiedy zasypałem go nazwiskami, złapał się za głowę i stwierdził, że trzeba by zrobić o tym osobną wystawę. Ekspozycja ostatecznie nie powstała, ale zacząłem dojrzewać do napisania książki. Kiedy zacząłem szperać w poszukiwaniu informacji, zrozumiałem, że sam nie zdawałem sobie sprawy, jak wielka jest to skala.

BLC: Niektórych bohaterów swoich książek poznał Pan osobiście. Jacy byli prywatnie?

AK: Niektórych rzeczywiście poznałem osobiście. Jacy byli? Każdy był inny, ale wszyscy mieli pasje kolekcjonerskie i konkurowali ze sobą o to, kto ma lepsze obrazy. Potrafili być uszczypliwi w stosunku do siebie, np. Billy Wilder dokuczał Otto Premingerowi, że nie kupuje obrazów, tylko nazwiska. Dla Wildera, który tryskał humorem, życie było jednym wielkim

gagiem. Mieli też dla siebie dużo ciepła i pomagali sobie, gdy była taka potrzeba.

O niektórych bohaterach dowiadywałem się w niezwykłych okolicznościach. Tak było z Markiem M. Dintenfassem, który powinien był znaleźć się w pierwszym tomie – jako prawdziwy pionier, ale do materiałów o nim dotarłem znacznie później. Niezwykły człowiek, którego poznawanie sprawiło mi wiele satysfakcji, mimo że nie było osobiste. Tacy jak on i jemu podobni stworzyli pewną wizję świata i my dzisiaj żyjemy w ich snach.

BLC: Jest Pan nie tylko historykiem kina – odkrywcą jego polskich korzeni, ale także wykładowcą, scenarzystą i reżyserem. Pańska twórczość jest, niestety, w Polsce mało znana. Proszę wobec tego przybliżyć naszym czytelnikom problematykę Pańskich filmów.

AK: Zawsze powtarzam, że jestem w Polsce najlepiej utrzymanym sekretem (śmiech). Nie jestem ”tylko” filmowcem i nie znoszę szufladkowania. W gruncie rzeczy jestem humanistą: piszę, robię filmy, rysuję karykatury… Wszystko się u mnie zaczyna od idei, która sama sobie znajduje ujście. Czasami w formie książki, a kiedy indziej – filmu lub sztuki. Muszę też odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego chcę opowiedzieć tę właśnie historię. Zazwyczaj moje pobudki są głęboko

humanistyczne: nie chcę, aby ktoś doświadczył czegoś, przed czym pragnę go w pewien sposób przestrzec.

Filmem, który bardzo cenię i lubię, jest mój ostatni obraz – ”W poszukiwaniu Palladyna” (2009). Zrobiłem go z dwóch powodów. Po pierwsze, kiedy w czasie choroby żony znalazłem się w nowym otoczeniu nieznanych mi ludzi, doświadczyłem wiele serdeczności i opieki, za które chciałem swoim filmem podziękować. Po drugie, zauważyłem, że młodzi ludzie są wiecznie roznarzekani, a przy tym niecierpliwi i chętnie idą na gotowe. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tacy są – co myśmy im takiego przekazali. My, to znaczy pokolenie lat sześćdziesiątych – dzieci-kwiaty, które były narcyzami interesującymi się wyłącznie sobą i które rozbiły naturalną strukturę rodziny. Nikt młodemu pokoleniu nie powiedział: ”Przepraszam, to ja zawiniłem” i ja poprzez ten film chciałem to zrobić.

BLC: Czym się Pan aktualnie zajmuje? Czy powstanie trzeci tom Pańskiej historii Hollywood?

AK: Jestem w trakcie pisania. Dodam, że cały ten cykl książek będzie miał swoją wersję filmową. Każdemu z moich bohaterów poświęcę jeden odcinek serii filmów dokumentalnych. Zgromadziłem materiał na pięć książek – ponad pięćdziesiąt postaci i chciałbym wykorzystać zarówno materiały archiwalne,

jak też inscenizacje i fotoanimacje. Zamierzam rozbudować ścieżkę dźwiękową i nagrać komentarz w siedmiu językach, co pozwoli mi dotrzeć do widzów na całym świecie. Ponadto planuję nakręcić film fabularny o Krzysztofie Komedzie, ponieważ do tej pory nikt nie powiedział prawdy o jego życiu. Znaliśmy się już w czasach dzieciństwa i przyjaźnili; byłem świadkiem jego wypadku i opiekowałem się wraz z innymi podczas jego pobytu w szpitalu. Czas odkłamać wszystkie powstałe wokół jego osoby mity.

http://kulturaonline.pl

Polskie dwory i pałace



Dwór polski

Maciej Rydel

Jedną z charakterystycznych cech polskiego krajobrazu, polskiej historii i kultury są dwory polskie.

Od początku państwa polskiego budowano je, najpierw jako obronne gniazda rycerskie, później od połowy XVII wieku jako siedziby właścicieli ziemskich, o charakterze rezydencjonalnym.

Dworami nazywamy parterowe siedziby właścicieli ziemskich, a więc budowle mniejsze od zamków i pałaców, a większe od chłopskich chałup. Dwory przez całe wieki były ośrodkiem gospodarowania na roli, ośrodkiem szlacheckiej kultury i

obyczaju, kultywowania tradycji rodowych i walki o polskość.

Charakterystyczne dla Polski jest to, że takich małych siedzib ziemiańskich było stosunkowo dużo, w porównaniu do innych krajów Europy. W Polsce na przykład w XVIII wieku, odsetek szlachty w społeczeństwie był stosunkowo największy (około 10 %), w porównaniu do innych krajów Europy (ok.3-4 %). Każdy właściciel ziemski (a także tzw. „gołota" czyli szlachta bez ziemi, ale z przywilejami nadanymi przez króla lub sejm) – starał się wyróżnić prestiżową siedzibą, która by te przywileje unaoczniała.

Za czasów rycerskich dworami nazywano całe obejścia, w których znajdował się dom rycerza i szereg innych zabudowań mieszkalnych i gospodarskich. Obejścia te w celach obronnych budowano na wzgórzach i otaczano palisadą lub murem i fosą. Niektóre większe budowle tego rodzaju do dziś zachowane, nazywamy zamkami. Mniejsze – dworami obronnymi. I takich zostało już niewiele – kilkadziesiąt sztuk. Najpiękniejsze oglądać możemy w Oporowie koło Kutna, Dębnie w woj. małopolskim (w obydwóch są obecnie muzea), a najstarszy z nich z prze-łomu XIV i XV wieku – w Wieruszycach koło Bochni.

Od połowy XVII wieku dwory zaczęły zmieniać charakter z obronnych na rezydencjonalne. Budowle piętrowe, na planie kwadratu z narożnymi wieżyczkami zmieniały się w parterowe, zbudowane na planie prostokąta. Otoczenie dworu z obronnego

założenia z fosą i palisadą zmieniło się na założenie ogrodowe, o funkcjach estetycznych i reprezentacyjnych. Z czasów obronności dworów zostały natomiast narożne wieżyczki, zamienione na mieszkalne alkierze. W XVIII i XIX wieku rozbudowywano dwory w ten sposób, że dodawano do korpusu dworu boczne alkierze. Dwory alkierzowe są bardzo charakterystyczną cechą polskiej architektury dworskiej.

Do ostatniej dekady XVIII wieku artystyczny wyraz architektoniczny wywodził się z baroku, później wśród architektury dworów zapanował neoklasycyzm. Najbardziej dziś popularne dwory, kojarzące się każdemu Polakowi z „typowym polskim dworkiem", to takie, które mają portyk dwu- lub czterokolumnowy na osi elewacji frontowej. „Typowy polski dworek" leży na wzniesieniu, zawsze otoczony parkiem, jest parterowy, dobrze by miał czterospadowy dach łamany kryty gontem i był zbudowany z modrzewiowych bali „na zrąb". Koniecznie musi być zorientowany „na godzinę jedenastą" i stać frontem do drogi (nie bokiem). Do dworu powinna prowadzić aleja, a przed dworem niewielki gazon tworzyć ma dziedziniec honorowy (tzw. *„cour d' honneur„*).

Taki wizerunek dworu bliski jest każdemu Polakowi. Takich dworów stosunkowo najwięcej się jeszcze ostało (dziewiętnastowiecznych około 500).



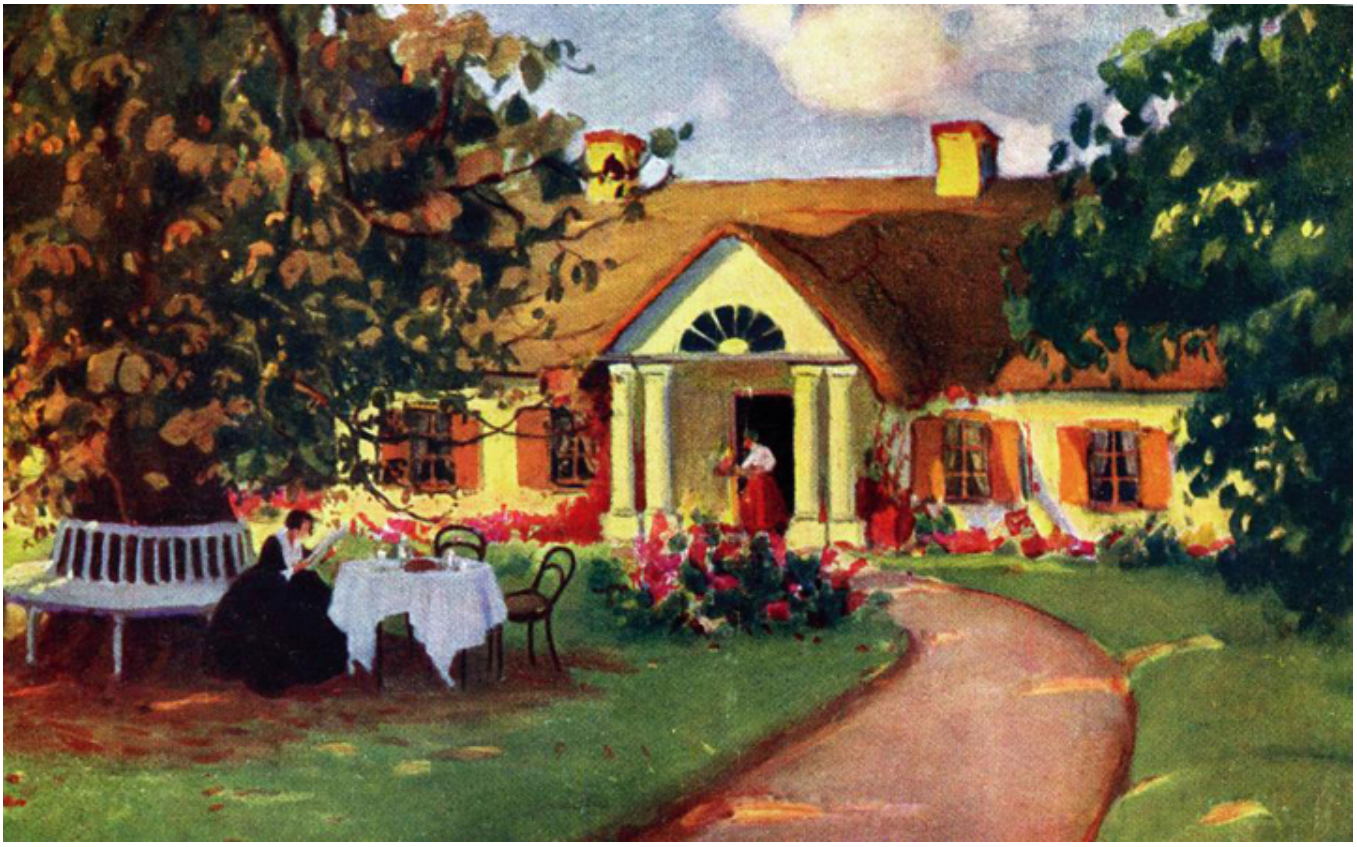
Dworek Wincentego Pola w Lublinie.

Neoklasycystyczne dwory, zwłaszcza murowane, będące częściowo naśladownictwem większych założeń pałacowych, budowano w zasadzie do pierwszej wojny światowej. Ten styl budowania po I wojnie kontynuowano w postaci tzw. „stylu dworkowego" i występował on do 1939 roku.

6 września 1944 r komuniści wydali tzw. dekret PKWN o reformie rolnej. Na jego mocy wywłaszczono i usunięto siłą wszystkich właścicieli ziemskich, formalnie tych posiadających co najmniej 50 hektarów ziemi, a w rzeczywistości wszystkich.

Zostało w całej Polsce w rękach prywatnych ok. 30 tzw. ”resztówek” czyli dworów, które nie były ośrodkami gospodarki rolnej (domy letnie, miejskie i podmiejskie).

Ziemię rozdano małorolnym chłopom i robotnikom rolnym. Dwory stały się mieszkaniami przypadkowych ludzi, częściowo przeznaczono je na szkoły, biura spółdzielni produkcyjnych i państwowych gospodarstw rolnych. Część dworów zniszczono jako „relikty obszarnictwa i wrogiego ustroju” lub zostały rozebrane przez miejscową ludność by nie było gdzie założyć kołchozu.



Dworek polski na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej.



Dworek polski na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej.

Jaki jest dzisiaj stan zabytkowych rezydencji wiejskich w Polsce ?

Parterowych dworów wybudowanych do 1939 roku, które zachowały przynajmniej zewnętrzny charakter zabytku, jest w Polsce około 3 tysięcy. Z punktu widzenia ich kondycji, ok. 2 tysięcy jest w stanie daleko posuniętej dewastacji, lub pozostały tylko zewnętrzne mury. Należą one najczęściej do Agencji Rolnej Skarbu Państwa, gminy lub miejscowej spółdzielni rolnej. Wiele z nich stoi pustych.

Pozostałe tysiąc dworów to szkoły, wiejskie ośrodki zdrowia lub mieszkania przypadkowych lokatorów. Ich stan można nazwać złym, ale nie beznadziejnym.

Tu i ówdzie uchowały się jeszcze zabytkowe elementy wnętrz: piece, kominki, stolarka.

Około 80 dworów w Polsce należy do osób prywatnych, w tym, jak wcześniej zaznaczyłem, 30 do byłych właścicieli, sprzed II wojny światowej. Pozostałe 50 to dwory kupione po 1990 roku i odremontowane na prywatne mieszkania. W około 30 dworach są muzea biograficzne (np. Sienkiewicza w Oblęgorku koło Kielc, Kraszewskiego w Romanowie (lubelskie), Konopnickiej w Żarnowcu (podkarpackie), Wybickiego w Będominie (pomorskie) lub lokalne muzea, w tym pokazujące wnętrze dworskie, np. w Ożarowie k. Wielunia, w Koszutach (wielkopolskie) lub Tubądzinie. Około 30 obiektów dworskich to pensjonaty, hotele i ośrodki konferencyjne, należące do firm lub osób prywatnych.



Dwór w Koszutach.

Trochę inna jest sytuacja obiektów większych – pałaców. Ani jeden nie został w posiadaniu przedwojennych właścicieli po 1945 roku. Wszystkich brutalnie wyrzucono z ich posiadłości.

Po roku 1990 kilka z nich wróciło do prawowitych właścicieli. Pozostałe czekają na ustawę reprywatyzacyjną. Pałace pełnią rolę biur gospodarstw rolnych, szkół, mieszkań prywatnych (zwykle kilka rodzin w jednym pałacu) lub muzeów. Większość z nich jest zdewastowana i pusta.

Funkcjonuje w całym kraju ok. 150 obiektów – pełniących lub mogących pełnić rolę konferencyjno-reprezentacyjne. Drugie tyle

można do tych celów przystosować, ratując przed niechybną zagładą.

Część jest w posiadaniu firm z przeznaczeniem na własne ośrodki szkoleniowe. Narodowy Bank Polski ma Starą Wieś w województwie mazowieckim, pałac po Radziwiłłach; BGŻ ma Leszno pod Warszawą – pałac Bersonów, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu ma zamek Reyów w Przecławiu (podkarpackie), Petrochemia Płocka ma pałacyk w Srebrnej.

Część obiektów jest w posiadaniu instytucji budżetowych. A więc muzea: Malbork, Nieborów, Łańcut. Kozłówka, Gołuchów, Rogalin itp. Kilka pałaców mają uczelnie wyższe: Uniwersytet Jagielloński ma dwór w Modlnicy, Politechnika Krakowska pałacyk w Janowicach na południe od Tarnowa, Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie ma dwór w Dłużewie w siedleckim, SGGW ma dwór w Kociszewie (radomskie). Związek Literatów Polskich posiada dwór w Oborach pod Warszawą, Urząd Rady Ministrów ma pałace w Jadwisinie i Małej Wsi, Ministerstwo Kultury pałac w Radziejowicach. Do instytucji administracji centralnej należy jeszcze kilka rezydencji. Polska Akademia Nauk posiada kilka obiektów, np. pałace w Jabłonnej koło Warszawy, Będlewie (wielkopolskie) i dwór w Mogilanach (małopolskie).

Przepiękny klasycystyczny pałac w Lubostroniu należy do

wojewody kujawsko-pomorskiego i jest na dobrej drodze by stać się rezydencją na światowym poziomie, po ostatnio przeprowadzonym remoncie.

W ostatnich latach uratowano szereg obiektów, które wydzierżawiły firmy i osoby prywatne prowadząc tam komercyjną działalność hotelowo – wypoczynkowo – konferencyjną. Do nich zaliczyć można dwa pałace koło Koszalina: Krąg i Strzekęcinio, pałac w Rzucewie koło Pucka), dwór w Woli Zręczyckiej (mało-polskie) czy pałac w Kraskowie (dolnośląskie).

Dworej w malwach, olej na płótnie, Jacek Łącki.

Wymienione wyżej rezydencje oferują usługi na stosunkowo wysokim poziomie, ale niestety należą do mniejszości. Zdecydowana większość spośród wspomnianych 150 pałaców i zamków, przeznaczonych na cele hotelowo-konferencyjne, mimo ładnego obiektu i pięknego położenia świadczy jeszcze niski poziom usług i zdecydowanie wymaga doinwestowania.

W Polsce niszczeją piękne obiekty zabytkowe, w takich miejscach za jakie w Europie zachodniej inwestorzy zapłaciliby masę pieniędzy. Wystarczy stwierdzić, że na Mazurach nie ma

praktycznie ani jednego czynnego na wysokim poziomie obiektu zabytkowego, który latem mógłby pełnić funkcje ośrodka wypoczynkowego, a poza letnim sezonem ośrodka konferencyjnego, jeśli nie liczyć neogotyckiego pałacu w Karnitach i zespołu poklasztornego w Wigrach (suwalskie). A obiektów zabytkowych, które mogłyby być przygotowane dla bardzo wymagających gości jest tam co najmniej kilkanaście. Nad czystymi jeziorami, w pięknej okolicy, z pałacami w 200 letnich parkach. Żeby wymienić tylko pięknie położony pałac w Sztynorcie nad kompleksem jezior Mamry, Dargin, Kisajno, Niegocin lub niszczejące pałace w Drogoszach, Sorkwitach i Gładyszach.

Obiekty konferencyjne, które odwiedziłem, mające bardzo wysoki standard i dobrze przygotowane do obsługi wymagających gości, nowocześnie prowadzone i dobrze reklamowane – nie mają trudności z zapełnieniem miejsc przez cały rok. Niewątpliwie wymagania klientów będą rosły, a zabytkowe pałace, zamki i dwory zasługują na to, by zapewnić im godziwą egzystencję i trwanie w nowych warunkach.

Zainwestowanie w pałace i dwory w celu przeistoczenia ich w ośrodki konferencyjno – wypoczynkowe jest niewątpliwie jednym z głównych sposobów na uratowanie tych obiektów, które straciły rację bytu jako ośrodki gospodarki rolnej i siedziby rodowe. Nawet po powrocie w ręce prawowitych właścicieli,

zdecydowanej większości nie będzie stać na to by je wyremontować i w nich zamieszkać.

Jest jednak jedna zasadnicza kwestia. Wszystkie te obiekty – dwory i pałace, najpierw muszą mieć „czyste konto” od strony własnościowej, co w większości oznacza oddanie ich potomkom prawowitych przedwojennych właścicieli. Na razie mają oni prawo pierwokupu tych obiektów wraz z otaczającym je parkiem. Zasadniczym krokiem w kierunku jasnej sytuacji własnościowej będzie ustawa reprywatyzacyjna.

Wokół literackiej spuścizny Krasickich.



Pałac Krasickich w Dubiecku.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem
W tobie los zrządził pierwszy życia wątek.
Wyszedłem na świat, co zdarza użyłem
A czas długiego wśród ludzi przebycia
To zdziałał: gdyby się można było odrodzić.
Lepiej by było z ciebie nie wychodzić.

Ignacy Krasicki, biskup Warmiński o rodzinnym Dubiecku

Amor patriae nostra lex – zawołanie z Siecina Krasickich herbu Rogala przyświecało rodzinie przez pokolenia, zarówno poprzez służbę wojskową, sprawowanie wysokich urzędów jak i działalność literacką, pielęgnowanie tradycji i kultury polskiej. Tworzyli jedną z gałęzi Rogalów Siecińskich na Sieciniu i Murzynowie, w Ziemi Dobrzyńskiej, nad Skrwą i Wisłą. Przyjęli nazwisko z Siecina Krasickich od miejscowości Krasice, koło Przemyśla, gdzie osiadli w 1542 roku. W 1580 r. Stanisław Krasicki, kasztelan przemyski i ochmistrz dworu królowej nabył Dubiecko. W 1717 r. właścicielem majątku został Jan Boży Krasicki, kasztelan chełmski, ożeniony z Anną ze Starzechowskich h. Nieczuja. Mieli oni siedmioro dzieci. Jednym z nich był późniejszy „Książę Poetów". Ignacy Krasicki spędził w Dubiecku pierwsze lata dzieciństwa, a następnie będąc w szkole jezuickiej i seminarium przyjeżdżał tu na wakacje. *O miejsce słodkie, gdzie się urodziłem, w Tobie los zrządził pierwszy wątek życia* – napisał potem w jednym z liryków o miejscu swojego dzieciństwa. W 1762 r. Anna Krasicka dokonała podziału majątku. Ignacy otrzymał 4 000 zł renty oraz *dla wygody cały na gurze w Pałacyku Apartament y dla ludzi w Bramie izby.*



Per Krafft. Portret Ignacego Krasickiego.

W 1771 r. Ignacy Krasicki odsprzedał swoją część majątku bratu Antoniemu. Nie zerwał więzów z rodzinnym gniazdem i często tu przyjeżdżał. W 1799 roku Xawery z Siecina Krasicki, bratanek Biskupa, poślubił Julię z Ossolińskich i tym sposobem pięknie położony nad rzeką San zamek w Lesku wszedł w posiadanie rodziny Krasickich. Te dwie spokrewnione gałęzie dubiecka i leska przez wiele lat utrzymywały ścisłe kontakty. Po śmierci Antoniego (1800) Dubiecko przeszło w ręce najstarszego syna Macieja. Ten ożenił się ze słynną pięknością Teofilą Stadnicką. Życie na Dubieckim zamku płynęło wtedy spokojnie, pełne jeszcze żywych wspomnień po biskupie warmińskim. Utrzymywano liczne kontakty z właścicielami sąsiednich majątków Morskimi z Zarzecza, Dembińskimi z Niedajdowej, Lubomirskimi z Przeworska.

Po śmierci Macieja Krasickiego (1855) właścicielem Dubiecka został jego młodszy syn Aleksander. Był on poetą, heraldykiem i znawcą historii polskich rodzin. Sam pisał wierszem i prozą, podejmował tematy historyczne i heraldyczne, drukował je w *Czasie*, *Gazecie Lwowskiej*, *Nowinach Lwowskich*, *Dzienniku Literackim* oraz *Albumie Rapperswillskim*, podpisując się „A.….z S…K…”. Opublikował również 7 listów Ignacego Krasickiego zaopatrując je komentarzem. (Niestety kilka z nich podarował

przyjaciołom). Utrzymywał przyjazne stosunki z wieloma przedstawicielami świata literackiego, a przede wszystkim z poetą – lirykiem i gawędziarzem Wincentym Polem, zaprzyjaźnionym również z Krasickimi z Leska. Najdłuższy pobyt poety na zamku dubieckim przypadł na wiosnę 1835 roku. Gdy poznał tradycje rodu, oraz legendy i opowieści z czasów Księcia Poetów przekazywane głównie przez Eleonorę Krasicką, bratanicę Biskupa napisał *Pamiętniki Imć Pana Benedykta Winnickiego*. Stały kontakt z Dubieckiem utrzymywali też Józef Ignacy Kraszewski i Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), która w dowód wdzięczności za stałą korespondencję i zachętę do pracy literackiej ofiarowała Aleksandrowi Krasickiemu jeden z pierwszych egzemplarzy poematu *Lech*. Częsty kontakt z rodziną Krasickich miał także powieściopisarz, piewca ziemi sanockiej Zygmunt Kaczkowski. Sąsiadująca z Dubieckiem Nienadowa była w posiadaniu rodziny Dembińskich. Spędził tam część swojego dzieciństwa spokrewniony z Dembińskimi Aleksander Fredro.

Po Aleksandrze Krasickim dziedziczką majątku została najstarsza córka, Aleksandra, która w 1851 roku wyszła za mąż za Franciszka Ksawerego Konarskiego.



Pałac Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Aleksandra podtrzymywała rodzinne tradycje, pisała wiersze zamieszczane w *Czasie* i *Ruchu Literackim*, zapraszała do Dubiecka poetów, literatów, ludzi sztuki i kultury. Była miłośniczką talentu Z. Kaczkowskiego i Teofila Lenartowicza.

Następny właściciel majątku Stanisław Konarski wydał w roku 1898 *Dyariusz z Heilsberga od roku 1790-1792*. Jest to szczegółowy opis życia na zamku w Lidzbarku, pisany przez

sekretarza biskupa Krasickiego, ks. Michała Foxa, który Dyariusz ten przeznaczył dal zamieszkałej wówczas w Dubiecku córki brata Antoniego, Anny Charczewskiej. Po Stanisławie majątek odziedziczył syn, również Stanisław (zm.1929). Ostatnia pani na Dubiecku Izabela Konarska, córka Stanisława zapisała zamek Michałowi z Siecina Krasickiemu, ur. w 1925 r. Michał został jednak uprowadzony przez Ukraińców w 1944 r. i przepadł bez wieści w Mielnowie k. Krasic pod Przemyślem.



Muzeum w Dubiecku.

Bogate pod względem literackim życie zarówno Dubiecka jak i

Leska pozostawiło liczne ślady. Pamiątki po „Księciu Poetów” przez wiele lat były przechowywane w Dubiecku z wielkim pietyzmem. Był to: zbiór korespondencji, szereg rękopisów poety, kilka portretów, w tym portret 15-to letniego Ignacego pędzla Mierisa. Pamiątki te wraz z archiwum Krasickich zostały ok. 1900 r. przeniesione na zamek w Lesku. Inna cenna część spuścizny Krasickich to zbiór listów oddanych do archiwum leskiego w 1929 r. przez Marię z hr Fredrów Szembekową z Siemianic, wnuczkę Aleksandra Fredry.

Po wojnie archiwum leskie zostało przekazane do Archiwum Państwowego w Przemyślu.

Czasy komuny nie sprzyjały cennym archiwaliom. Pozostała w Polsce rodzina z Siecina Krasickich przez wiele lat nie miała dostępu do swojego archiwum. Xawery z Siecina Krasicki, zamieszkały w Warszawie, syn Augusta Konstantego, autora *Dziennika kampanii rosyjskiej 1914-1916* (Lwów 1934), w liście do mnie z dnia 13.06.1988 roku pisze:

> Wiadomości, które od Pani otrzymałem są wprost sensacyjne, bo jest Pani pierwszą osobą, która dotarła do naszego rodzinnego archiwum w Przemyślu – właściwie zabranego nam całkowicie bezprawnie! Jedyną wiadomością jaką miałem o tym zbiorze dokumentów, była smutna notatka

> w „Życiu Warszawy” z 2.03.1971 r. :
>
> 12 lipca 1970 r. na przejściu granicznym z Zgorzelcu w samochodzie obywatela fińskiego J.V. Maniette znaleziono kilkadziesiąt dzieł sztuki i wartościowych starych dokumentów…m.in. kilka listów z poł. ubiegłego w. należących do rodziny Krasickich. Jak wykazało dochodzenie listy te i dokumenty królewskie zostały uprzednio skradzione z Państwowego Archiwum w Przemyślu przez pracowników tej placówki.

W spisie listów i dokumentów wchodzących w skład archiwum Krasickich, a znajdujących się wówczas w Archiwum Państwowym w Przemyślu znajdowały się m.in. tak cenne materiały jak:

Listy z Heilsberga Ignacego i Ksawerego Krasickich do rodziny z lat 1773-1792, listy różne do Edmunda Krasickiego z lat 1824-1884 (Aleksander Fredro, Agenor Gołuchowski, Stanisław Koźmian, Józef Lompa, Julian Konstantyn Ordon, Rodakowski, Karol Szajnocha…itd), listy Wincentego Pola do Ksawerego i Edmunda Krasickich z lat 1837-1872, listy Zygmunta Kaczkowskiego do Edmunda Krasickiego z lat 1850-1887 (niektóre z listów Kaczkowskiego i Edmunda Krasickiego, zostały ogłoszone przez Krechowieckiego), wydarzenia

polityczne: papiery współczesne dotyczące konfederacji barskiej 1768-1791, fragment pamiętnika Edmunda Krasickiego z 1831 roku,

Listy dotyczące Aleksandra Fredry i rodziny oddane przez Marię Szembekową znajdowały się w osobnym fascykule nr 248/V.

Literackie ślady można też znaleźć w księgozbiorze Krasickich. Dotyczy to nie tylko zawartości biblioteki świadczącej o zainteresowaniach poszczególnych członków rodziny, ale przede wszystkim bogatej proweniencji i cennych marginaliów.



Salon w Pałacu Krasickich w Dubiecku, fot. Narodowe

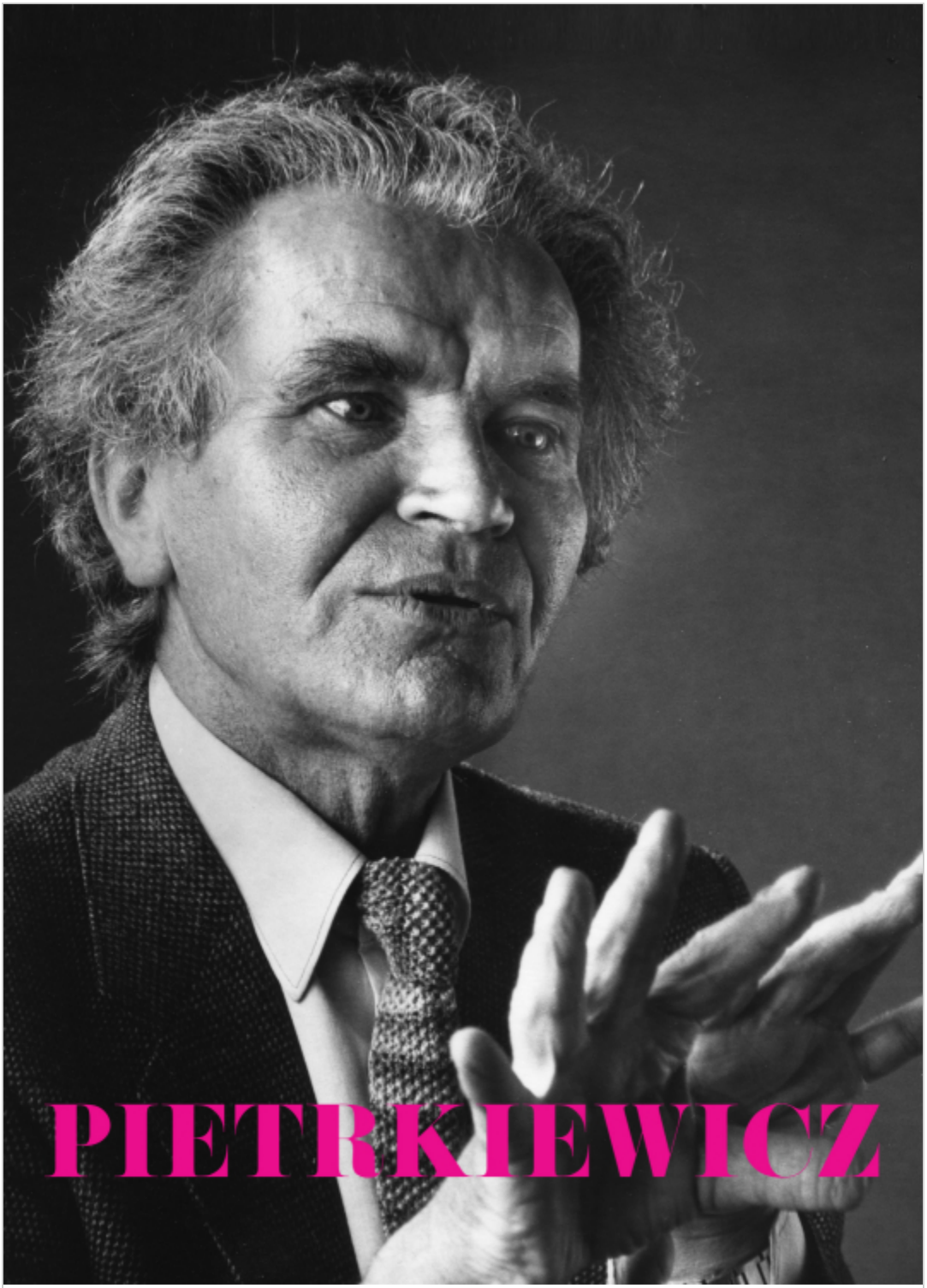
Archiwum Cyfrowe.

Po wojnie w Dubiecku i Lesku pozostał księgozbiór w dużej części zdekompletowany i rozproszony. W 1946 roku księgozbiór Krasickich z Leska trafił do biblioteki Muzeum Historycznego w Sanoku. Jest to przede wszystkim XVIII-to i XIX-to wieczna literatura piękna w języku polskim, niemieckim i francuskim, ale także czasopisma, pośród których jest m.in. *Przegląd Polski* wychodzący w Krakowie w latach 1866-1913 i *Przewodnik Naukowy i Literacki* wydawany we Lwowie w latach 1877-1919. Część księgozbioru dubieckiego przez przypadek trafiła do biblioteki Muzeum Zamku w Łańcucie w poł. lat 80-tych. Najcenniejszym egzemplarzem w „skrzyni z Dubiecka", która do Łańcuta trafiła zamiast lustra, jest pięknie wydany XVIII-to wieczny słownik francusko-łacińsko-włoski z podpisem „Księcia Poetów". Z I poł. XIX w. pochodzi najwięcej pozycji. Jest tu literatura piękna: dramaty Schillera, Szekspira, cykl dramatu angielskiego, utwory popularnych autorów komedii. Są także tomiki poezji, beletrystyka francuska, powieści Waltera Scotta, dzieła zebrane Coopera oraz pamiętniki Napoleona i pani George Sand. Jest także poezja o charakterze encyklopedycznym, cykl podróży dookoła świata, dzieła historyczne, polityczne i religijne. Liczna proweniencja wskazuje kolejnych właścicieli. Na kartach tytułowych widnieją podpisy „comte Krasicki – Dubiecko", „Teofila Krasicka", dedykacje od Magdaleny Morskiej z Zarzecza

czy Dembińskich z Nienadowej. W zapomnianej do niedawna skrzyni znajdowały się też książki z podpisami Konarskich, np. „Historia Juliusza Cezara” czy „Sekrety Napoleona Bonaparte”. Z tego okresu, czyli II poł. XIX w. pochodzi kilka tomików poezji, powieści francuskie, tzw. nowoczesne biografie, przygody Robinsona Crusoe itd.

Literackie ślady znajdujące się w archiwum Krasickich, czy w zapomnianych księgozbiorach do tej pory nie doczekały się pełnego, monograficznego opracowania. W roku akademickim 1998/99 w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu powstała praca magisterska Waldemara Soleckiego pt. *Archiwa Krasickich herbu Rogala*, napisana pod kierunkiem prof. B. Ryszewskiego. W przewodniku *Archiwa Państwowe w Polsce*, rozdział 4, Michał Proksa. *Archiwa rodowe w zasobie Archiwum Państwowego w Przemyślu. Archiwum zamku leskiego Krasickich*, autor tylko w ogólny sposób zaznacza zawartość cennych zbiorów. Nikt jednak nie zajął się literackim aspektem tych archiwaliów, jako źródła cennych informacji ilustrujących dzieje naszej literatury.

Refleksje z korespondencji z Jerzym Pietrkiewiczem



Jerzy Pietrkiewicz, fot. Archiwum Emigracji.

Florian Śmieja

Jerzego Pietrkiewicza poznałem w czytelni British Museum w Londynie w 1946 roku w czasie urlopu ze szkockiego obozu. Cztery lata później w latach pięćdziesiątych byłem jego asystentem w Szkole Nauk Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Potem rozeszły się nasze drogi. Ze szczupłej naszej korespondencji zachowało się kilkanaście listów i pocztówek, kilka zaginęło po nadaniu na poczcie w Sandomierzu.

Z nastaniem komputerów komunikacja stała się łatwiejsza, tańsza i szybsza. Ale korespondencja przedtem osobista i prywatna, stała się obojętna, bezbarwna, a właściwie nietrwała i ulotna. Niewiele z niej ocaleje.

Dlatego z nostalgią oglądamy listy z dawnych lat, ze staroświeckiej ery pisania odręcznego. W zapomnianej teczce znalazłem te ocalałe listy i widokówki od Jerzego Pietrkiewicza (1916-2007), poety i pisarza, wykładowcy polonistyki na Uniwersytecie Londyńskim.

Biorę do rąk i czytam najstarsze pismo z 1954 roku. Pietrkiewicz zaczął wtedy pisać serię powieści w języku angielskim. Z listu wynika, że mój korespondent przeczytał artykuł, moją recenzję jego książki i dziękuje mi za *ujęcie rzeczy całej , która pokazuje powieść poprzez poezję i dwa pokłady językowe*. Natomiast do dalszej mojej narracji Pietrkiewicz-kokiet ustosunkował się przewrotnie.

> Wspomniał Pan następną powieść (gdyby to zdanie ukazało się kilka tygodni temu, moja przesądna natura przeżyłaby kryzys). Tak, rzecz ta ukaże się na wiosnę, ale – błagam – niech Pan nikomu o tym nie opowiada, bo demony dobrzyńskie zmówią się, pokręcą korektę, zamażą okładkę, zjedzą ewentualne honoraria.
>
> Chciałbym, żeby druk tej powieści był niespodzianką. Będzie niespodzianką i dla Drogiego Pana (niech Pan nigdy nie ufa autorom, kiedy szepczą o swych planach literackich – bo łgają (sic! FS) i zamazują ślady – tak, tak…), Czymże byłoby pisanie bez łgarstwa, prawda? – tylko prawdą, a to nie idzie w parze z fikcją. Przekazuję ten sekret w dobre ręce i niech co rozjaśniłem, zaciemnię. I ani pary z ust…
>
> Jeszcze raz dziękuję za piękny artykuł (pochlebny dla mnie – ale próżność poetycka mile pogłaskana). To, co Pan napisał, najlepiej podsumowało to wszystko, dobrze więc, że wydrukowano właśnie teraz, z opóźnieniem.

Następnie otrzymałem jakieś wycinki z „Wiadomości” Grydzewskiego wraz z oficjalną kartką z papeterii Szkoły Nauk Słowiańskich datowaną 15.X.1964 roku.

> Załączam wycinek o Szewczyku (z 1946!) – może Pan go przekazać Szewczykowi, jeżeli Pan zechce. Naturalnie, koniecznie należy o nim pisać. Porządny chłop, zawsze był i będzie. Niech Pan pomyśli, jak się sentymentalizuje Ważyka, który przecież robił nagonki na pisarzy, denuncjował, a teraz niby świętość bez skazy. Szewczyk denuncjatorem nie był. I lepszy poeta. Tak, chciałbym bardzo przeczytać coś Pańskiego o nim. Szukając owej recenzji, natrafiłem na moją odpowiedź w ankiecie z 1948 r.,co jako curiosum Panu daję do teczki. W tych polskich „dark ages" jakąś tam świeczkę nosiłem . P.S. Jeśli Pan zdobył „Wiadomości", to wycinek Szymona także dla Wilhelma Sz. Jeśli nie – naturalnie dla Pana.

Z mojego zaproszenia w 1966 roku, by Pietrkiewiczowie (oboje byli na naszym ślubie w Londynie w1954 roku), przyjechali w odwiedziny do Nottingham, do którego się przeniosłem, nie skorzystali. Pietrkiewicz tłumaczył, że jego żona, Christine, miała akurat dużo zajęć w BBC.

Odpowiadając na niepamiętaną dzisiaj moją kwerendę kwestionującą jego określenie odpowiedział:

> Wie Pan, że jednak „erotic-sonnet"- na tym polega dowcip

> cytatu viz. Petrarka i damy serca. Ile tam złości i żółci. Nawet idealizujący krytycy przyznają, że „I ten wiersz wraz mi stwardniał(!) bliższe Freudowi niż Beatrice. Pogadamy przy okazji o tym i o „cobble" (realizm szczegółu, zawsze u C.K.Norwida) – tylko niech zacny Florian się pojawi na londyńskim bruku.

Otrzymałem też wtedy nadbitkę artykułu Pietrkiewicza z czasopisma „Eos" na temat tradycji schadzek o świcie. Wśród przykładów polskich, Pietrkiewicz zacytował trzy pieśni anonimowe ze Śląska Cieszyńskiego z dopiskiem „Ślązakowi śląskie anonimy polecam".

Z upływem czasu zażyłość i przyjaźń nasza rosła. W 1996 pocztówka z Alhambrą zaczynała się

> Florku-Florianie, sercu memu miły, jeśli nie miałeś dowodu na synchronicity – to teraz masz. Dzień przed Twoim listem, dotarł też list Miodka (którego cenię i bardzo lubię). Miodek napisał, że chodziliście do tej samej sztuby w Tarnowskich Górach, no i obdarzył cię, że byłeś moim uczniem. Czy zasługuję na tytuł doradcy-guru? Dość, że jak Ciebie spotkałem w British Museum, od razu wiedziałem, że coś w życiu zrobisz, stąd moje zaufanie do Ciebie, niezmienne .A Miodek zrobił ze mną chyba najlepszy program dla TV –

> rozmowę o literaturze. Także osoba budząca szacunek i zaufanie. Arriba Silesia.

Kiedy przeniosłem się do Kanady, Pietrkiewicz odwiedził mnie tam w 1977 roku, dał wykład na moim uniwersytecie i spotkał się z lokalną Polonią w London, Ontario.

Z Ottawy napisał *dzięki serdeczne za gościnność i miłą atmosferę na uniwersytecie Twoim, w domu i w Klubie. A przede wszystkim cieszę sie, żeśmy pogadali po latach i że zobaczyłem Cię w gronie rodzinnym, z Zosią i dziećmi. Nakarmiony, oprany wróciłem do Montrealu*. Dowcipnie dodał: *Miło było zobaczyć Twoją gębę i aurę i humor zanim nie pomrzemy.*

Napisałem mu raz długi list na temat pozostawania na emigracji lub powrotu do Polski. Jerzy odpowiedział:

> Twój list dał mi sporo do myślenia: ten trójkąt europejski w moim życiu. Wracać do ziemi dobrzyńskiej byłoby sztuczną decyzją. Brakuje mi ich kontekstu; sześćdziesiąt lat to dużo. Ale mówią mi i piszą jak z uporem, przez lata, przywracałem sens istotny tej tak odrębnej ziemi. Teraz krajanie moi wiedzą, że to było ważne. Chłopak osiemnastoletni napisał „Ziemia Dobrzyńska, Ziemia Dobrzyńska, a w niej chyba najwięcej ojczyzny". Pięćsetlecie statui w Skąpem (Maria-

> dziewczę) stała się okazją na spotkanie z młodzieżą od 7 do 17 lat. Ks. Jan Twardowski był ze mną, kościół tak przepełniony jak nigdy – ponad tysiąc młodych twarzy z mojej ziemi. Wzruszająco ogromnie, najlepszy prezent na 80-lecie, a od planowanych celebracji uciekałem – gdzie- do Alhambry…

I znowu zapraszał mnie do swojego domku andaluzyjskiego, którego fotografie słał z dumą. W styczniu 1998 chwalił się:

> przez drzwi widać mimozę – wszystko już kwitnie – i migdałowe drzewa i aloesy, które kochał Słowacki… Jadę 25 km do restauracji przez pola trzciny cukrowej, które ongiś należały do ojca Lorki (jak wiesz, był bogaty, miał samochód i szofera).
>
> …Jako Ci mówiłem, przyjaźniłem się z poetami śląskimi z Szewczykiem na czele. Ale ja już wolę być in statu contemplationis…

W innym liście z tegoż roku kwitował mój

> co za ładna i wzruszająca niespodzianka dostać list z

> życzeniami od Ciebie właśnie tutaj. Po tych latach potwierdzenie tego, co nas łączy ma szczególny sens, coś z istoty życia.
>
> Jak to dobrze, że wszedłeś w Hispanidad wkrótce po Irlandii. Coraz szersze widnokręgi. Gdybyś tego nie zaznał, nie przeżył w sobie, byłbyś może skwaszony i zły na siebie, jak wielu emigrantów (choć to już luźny termin) jest teraz w swoim zachodzie słońca. Załączam kilka stronic ze „Sycyny", którą redaguje Myśliwski, według mnie naprawdę oryginalny powieściopisarz w Kraju i mądry człowiek.

Pytałem Jerzego o losy jego angielskich publikacji.

> Z tłumaczeniami w Polsce nie jest dobrze, bo nie potrafią znaleźć stylu dla takich książek typu „The Third Adam" czy „The Other Side of Silence". Ktoś próbował „The Other Side" ale uląkł się biedak, choć to, co piszę, nie ma zawijasów czy innych zaciemnień semantycznych . Poczekam – czy doczekam? San Miguel sabe.

W roku 1999 na pocztówce pisał:

> Drogi Florianie (ten Twój Święty był niemal spolonizowany już za Piastów) dzięki za pamięć – bo i Ty już w senioracie tych, co doczekali – a doczekanie to prezent od naszego ciała. Jeździsz, fruwasz, pływasz – un caballero viajero – geny śląskie widać mają geologię swoistą.
>
> Dziękuj, kiedy śpiewasz: „Kiedy ranne wstają zorze". Dziś wstały czerwone jakby buraki pękły na chmurach.

Często donosił z radością o nowych publikacjach i wspólnych znajomych.

> Wyszły trzy sztuki Gombrowicza w jednym tomie dla angloyankesów z moim esejem, który nieźle się czyta po latach.
>
> A nasz Noel Clark (który mile wspomina Twoją pomoc przy wydaniu angielskiej wersji Racławic) słusznie został odznaczony „zasłużony dla kultury polskiej" w ambasadzie, przyjacioły się zeszły. Odznaczono także siwiutkiego gołąbka Jasnowskiego, zdumiony byłem, że żyje jeszcze, chyba go pamiętasz z zamierzchłych czasów.

Kartka z fotografią uroczego zakątka andaluzyjskiego ogrodu pochodzi z 2000 roku. :

> Drogi Florianie, obłapiam milenijnie i Ciebie i ród Florianowy (a Fabian, jak wiesz, dzielił obowiązki patrona Polski z Florianem, póki nie wysłał w męczeństwo św. Stanisława Bolko nazbyt śmiały)…
>
> Należymy do tej jedynej emigracji wojennej, Ty, Floreczku, jako junak. Reszta to dodatki – płatki, co wylatują z młocki historii.
>
> Moja dobrzyńska więź to nie przedwojenna sprawa, ale stała ciągłość autentyzmu przeżyć i wyobraźni, a dziecko (znasz moje dictum, zawsze żyje wewnątrz nas). Dlatego dzieci z moich stron witają mnie jak rówieśnika – znają moje wiersze na pamięć – te wiersze jak „Siewna”, „Ballady dobrzyńskie”. ”Piątry poemat” w pomyśle pochodzą z przełomu lat wojennych. Przedwojenna „Prowincja” była jednym z głównych tekstów Autentyzmu w jego początkach. Szczęśliwy się czuję, że koła czasu tak się ładnie wokół mnie zamykają.

Pod koniec wydarzyła nam się dziwna rzecz. Otóż w 2000 roku na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu

zorganizowano konferencję naukową: „Jerzy Pietrkiewicz – inna wersja emigracji”. Zgłosiłem swój udział, napisałem artykuł „Ten trójkąt europejski w moim życiu” i pojechałem. Pod koniec pojawił się oczekiwany bohater konferencji. Po sesji zaczął podpisywać gotową już książkę materiałów konferencyjnych. Kiedy zbliżyłem się do Jerzego, ten mnie nie poznał. Ogromnie się speszył. Napisał:

> …jak gapa zmęczona, nie rozpoznałem ani Twojej twarzy, ani głosu. No ale sporo lat upłynęło od ostatniego w Londynie spotkania. Taka ekskuza, ale słaba. Rzekę tedy: Espera, siempre espera, ya pasará la noche oscura de su memoria cansada. Amen.

Potem powtórzył:

> Cieszę się, że byłeś na konferencji – to wzrusza, to zbliża tyle naszych lat – Boże ty mój, jak te koła życia się kręcą- zamykają i otwierają. Dzieciaki ze szkół Ziemi Dobrzyńskiej witają mnie jakbym był sportowcem z drużyny nieprzegranego czasu.

Ucieszyło go bardzo zamieszczenie rozmowy Bolesława

Taborskiego ze mną na temat tej konferencji. *Tak, to niemal symboliczne, że jesteście (ze mną pośrednio) w ostatnim numerze „Kultury". To także ustawia w czasie.*

Na fotografii ze swojego domu "El nido oculto" pod Granadą objaśniał:

> Spójrz na tę fotografię z kołem życia: nosiłem – zwoziłem te białe kamienie (ujście podziemnej rzeki, prosto z gór).

(Na późniejszej fotografii z 2002 r. dodał *Symbol oculto wedle nazwy domu. Podczas pełni księżyca koło się kręci*.)

> A dom zaprojektowałem razem z architektem tamtejszym, pomysły moje wprowadziłem w życie, ale powoli – tak jak wyszukiwanie mebli, antycznych drobiazgów. Jak się zjawisz kiedyś, zobaczysz...

Cieszyła go duża pokonferencyjna książka z Torunia.

> Ciekaw jestem , jak odbierasz błękitną księgę. Pierwsze sześć esejów tworzy ciągłość, zgadzam się, że locum i logos to oryginalna interpretacja tekstów. No i Moczkodan dobry,

> a Supruniuk zna tyle faktów. Ten, co pisze o nowelach („Umarli nie są bezbronni”) nic nie wie, że były pisane dla Światpolu (agencji dla prasy amerykańskiej) dlatego, że minister emigracyjny nie pozwolił British Council, abym dostał przyznane mi stypendium i musiałem dorabiać nowelami na zamówienie – taki los mój w pierwszym roku w St Andrews.
>
> W książce jest sporo błędów korekty – będzie errata dla bibliotek. Ale sama rzecz: zbiór esejów i sponsorzy doceniający ważność pracy dla ziemi dobrzyńskiej, dla jej kultury – raduje serce i myśli moje, właśnie w tej fazie mojego życia.
>
> Tak, Drogi Florku, znamy się już od tak dawna: przyjaźń otwiera pamięć, chroni ją i przesuwa w inny wymiar.

Bodaj w ostatnim liście w moim posiadaniu z 5 grudnia 2004 roku Pietrkiewicz powiada:

> Dobrą drogę wybrałeś – i akademicką i rodzinną. Nie będziesz miał do siebie pretensji, a to cenne. Książkę o Kontynencikach (sic! FS) przejrzałem i napisałem dłuższy list do autorki. Co z nich zostanie? Jest angielska fraza „the body of work”, to znaczy, że przyszłość odkryje to, co choć słabe,

> można ocalić. Jak miotła potraktowała Młodą Polskę, albo nieudolny u nas „futuryzm”? The „Body” na śmietnik. Warto podumać nad tym.
>
> To Niemojowski opracował antologię – pokazał mi ją na krótko przed Odejściem. Czaykowski ją popsuł. (Na temat tej antologii pisał Pietrkiewicz także na pocztówce z 2002 r. Sądzę, że były to różne antologie).
>
> Moje zdrowie, jak dwie szale. Ale ziemia dobrzyńska rozumie ważność tego, co zrobiłem. „Sójka” moja dalej fascynuje dzieci. Są już tacy, co znają mój bestseller na pamięć.
>
> Pewnie gdzieś- kiedyś spotkamy się. Pozdrów całą rodzinę, to ich zdrowie daje Tobie energię.
>
> „Carcanet Press” wydała mojego Norwida (Poems-Letters-Drawings), sto stron w ich „Poetry Pleiade” a więc Norwid dla Świata.

Jerzy Pietrkiewicz

Wybitny poeta, prozaik i tłumacz (autor m.in. świetnych przekładów poezji Karola Wojtyły na angielski), ur. 29 września 1916 r. we wsi Fabianki (Ziemia Dobrzyńska) w rodzinie chłopskiej. Ukończył gimnazjum im. Długosza we Włocławku, studiował w Warszawie, był związany z grupą pisarzy ze wsi, tzw.

autentystów, skupionych wokół „Okolicy Poetów“, współpracował z tygodnikiem „Prosto z Mostu“, który drukował w sześciu numerach jego poemat Prowincja, dokument autentyzmu – 1935.

Po wybuchu wojny przedostał się przez Rumunię i Francję do bombardowanego Londynu. Niezdolny do służby wojskowej, ukończył najstarszy szkocki uniwersytet w St. Andrews; doktorat z anglistyki uzyskał w Londynie (Kings College, 1947), przez wiele lat był profesorem literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim.

Od roku 1953 jest także autorem angielskim: jako Peterkiewicz napisał osiem powieści (m.in. *The Knotted Cord*, *Future to Let* – 1958, *Isolation, Inner Circle* – 1966), które spotkały się z bardzo dużym uznaniem krytyki. Opublikował dwie antologie, poezji polskiej i angielskiej, we własnym przekładzie, monografię *The Third Adam*, studium o poetach „u krańców mowy“, *The Other Side of Silence* – 1970, oraz autobiografię *In the Scales of Fate* – 1993.

Dopiero po 1980 r. zaczęły się niektóre książki Pietrkiewicza ukazywać w Polsce; przedtem był systematycznie przemilczany. Za to brytyjskie *Who’s Who*, sprawdzian życiowego sukcesu, odnotowuje trzydzieści publikacji Jerzego Peterkiewicza.

Zmarł w Londynie w 2007 r.

Klan Pilitowskich

27 października na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki

z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Oto kolejny i ostatni już fragment. Książka jest nie tylko podróżą przez spektakle teatralne, ale przede wszystkim opowieścią o ludziach, którzy teatr tworzyli.



Maria Nowotarska i Jerzy Pilitowski w Ambasadzie

Rzeczpospolitej Polskiej w Waszyngtonie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Toronto, 8 lipca 1993

Marysię i Jurka widziałem już z daleka. Szli Bloorem od stacji metra, trzymając się za ręce. Marysia elegancka, w kapeluszu o wielkim rondzie i na wysokich obcasach, Jurek znacznie swobodniej ubrany, opalony, roześmiany. Idąc środkiem chodnika, wydawali się tańczyć, to zbliżając, to oddalając od siebie splecione dłonie. Kiep ten, kto patrząc na nich, ciągle nie wierzył, że można być młodym i szczęśliwym po sześćdziesiątce.

(Andrzej Pawłowski, *Dziennik skojarzeń*, maszynopis).

Spotkanie

Jerzy Pilitowski:

– Jak się poznaliśmy z Maryśką? Na siłę, na siłę, i ta siła została przez całe życie.

***

Po skończeniu krakowskiej architektury Jurek nie miał na nic

czasu, pracował dniami i nocami. Oprócz wykonywania codziennej pracy, brał udział w konkursach i solidnie się do nich przygotowywał. Kiedyś przypadkiem spotkał na Floriańskiej kolegę ze studiów, Zdzisia Krawca. Kolega pochodził ze wschodu i trochę zaciągał.

– Co Ty tak tylko harujesz? – powiedział śpiewnie do Jurka. – Może byś się rozerwał tak od czasu do czasu. Przyjdź jutro o piątej wieczorem do Michalika, poznasz świetne dziewczyny. Taka Marysia Nowotarska będzie – słyszałeś o niej na pewno.

Jurek nie słyszał, ale dał się namówić koledze na spotkanie.

Marysia Nowotarska podczas studiów była w Krakowie osobą popularną. Grała w filmie, bardzo dobrze się ubierała, gdyż brat przywoził jej piękne rzeczy ze swoich zagranicznych wojaży. W pierwszych powojennych wyborach została nawet wybrana wicemiss Krakowa. (…) Pewnego dnia zadzwonił do niej znajomy architekt.

– Marysiu, przyjdź w sobotę na spotkanie do Jamy Michalika – zaproponował. – Zobaczysz, będzie miło, przyjdą koledzy, będzie Leszek Filar, Jurek Pilitowski, przyjdź, pogadamy sobie.

Nazwiska Filar czy Pilitowski nic jej nie mówiły, ale się umówiła. Pech jednak chciał, że tego dnia miała zajęcia z bardzo ostrym i

wymagającym Eugeniuszem Fulde. Zajęcia się przedłużyły, a nie można sobie było pozwolić na wcześniejsze wyjście, bo pracuje się przecież w zespole. Nie poszła więc na spotkanie. – Co mi ten Krawiec zawraca głowę jakimś Pilitowskim czy Filarem, co mnie to obchodzi? – pomyślała.

Po paru dniach spotkała koleżankę, która pracowała w architektonicznym biurze wojewódzkim.

– Wiesz co, Hanka – mówi do niej – kolega mnie namawia, żebym się spotkała z jakimś Filarem i Pilitowskim, kto to jest ten Pilitowski?

– Oooo Jezu! – wykrzyknęła Hanka. – Jaki fantastyczny chłopak, wiesz, z urody to taki Francuz, czarne włosy, smagły. A poza tym świetny architekt, ciągle kosi konkursy. No i był u Andersa, a przy tym sportowiec, taternik…

Maria Nowotarska:

– Jaka ja byłam głupia – pomyślałam. – Mogłam już poznać tego Pilitowskiego. No nic, przeproszę Zdzisia, że nie przyszłam.

***

Kolega przyjął przeprosiny i zorganizował spotkanie po raz

drugi.

Maria Nowotarska:

Odstrzeliłam się, jak tylko to było możliwe. Włożyłam moje futro z lamparta, czarny aksamitny czepek i długie klipsy w kształcie słoni, przywiezione przez mojego brata z Indii. Do tego ostra zielona suknia i szpilki.

Jerzy Pilitowski:

Taki wygląd zawsze bardzo mnie peszył, nie byłem do tego przyzwyczajony, miałem raczej do czynienia z dziewczynami w swetrach, takich od wspinaczki.

Maria Nowotarska:

Przychodzi Pilitowski. Wygląda super, czarne włosy, przystojny że ach! Dech mi zaparło. Tylko w jakimś swetrze pod płaszczem, no ale trudno. Tak mi się podobał, że mowę mi odjęło, ani nie byłam złośliwa, ani dowcipna jak zwykle. Nic tylko tak patrzę na niego i w duchu sobie myślę: „Będzie mój”. Ale on na mnie kompletnie nie zwracał uwagi.

Jerzy Pilitowski:

No i jakoś to poznanie nie bardzo nam wyszło. U Michalika była jeszcze dziewczyna z Nowej Huty i po skończeniu imprezy odprowadziłem ją do domu.

Maria Nowotarska:

Szlag mnie trafił, ale pomyślałam sobie, że nie dam za wygraną.

***

Zanim się rozstali, Jurek oznajmił, że następnego dnia o szóstej rano będzie na dworcu, bo wybiera się potrenować w podkrakowskie skałki. A jeżeli któraś z dziewcząt chciałaby mu towarzyszyć, będzie mu miło.

Maria Nowotarska:

Ubrałam się w rybaczki, żółty trykotowy golfik, włosy związałam w tak zwaną pytkę, no i przyszłam rano pod zegar na dworzec w Krakowie. Patrzę, jest Jurek.

Jerzy Pilitowski:

Przychodzę rano na dworzec i widzę Marysię. Jest w trampkach, bez makijażu, bez kolczyków. Wtedy ją dopiero odkryłem. – Jaka fajna dziewczyna – pomyślałem. Mam zdjęcie, które jej tego dnia

zrobiłem. Tak się dopiero poznaliśmy.



Maria Nowotarska w swoim apartamencie w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Kwatera główna

Torontońskie mieszkanie rodziny Pilitowskich przy Oakmont Rd. 22, położone na jedenastym piętrze wieżowca, z basenem na dole, otacza niekończąca się zielona przestrzeń High Parku. O każdej porze roku balkon wychodzący z salonu rozkwita

rozległym widokiem na jezioro Ontario, tak charakterystyczne dla miasta Toronto. W słońcu widać też wyraźnie strzelające w niebo nowoczesne, szklane drapacze chmur Downtown i CN Tower. To z niego można obserwować zimne ognie wypuszczane w niebo przy różnych ważnych okazjach. Latem balkon tonie w kwiatach i ziołach, rozrastających się gęsto pod troskliwą ręką gospodarzy. W salonie kanapa i fotele, duży stół okryty ciężką kolorową tkaniną, na półkach srebra, na ścianie wielki obraz pędzla Ilony Biernot, przedstawiający Marię Nowotarską w kapeluszu. Lustra, kwiaty, korale i różne bibeloty, starodawny grzebień, puzderko, wszystko jak nie z tego świata. Plakaty na ścianach i mnóstwo fotografii – Marysia Nowotarska z bratem Julkiem jako dzieci, mama, babcia, Jurek Pilitowski z kolegą od wspinaczek Janem Długoszem, Agatka, Piotruś, i wszystkie kochane wnuki. W mieszkaniu panuje serdeczna atmosfera. Każdy gość jest mile witany, sadzany, częstowany czym chata bogata. Nic więc dziwnego, że urywają się telefony, ciągle są dzwonki do drzwi, ciągle ktoś przychodzi. Tu się rodzi sztuka, tu powstają artystyczne pomysły, tu się skrupulatnie liczy każdy bilet, każdy wydatek i wszystko dokładnie planuje.

Nagle dzwonek, jak po ogień wpada Maciek.

– Babcia, daj coś zjeść! – woła od progu.

W tym czasie telefon.

– Bilety na spektakl? A to do mojego męża, może jeszcze coś się znajdzie.

– Co kupić, Marysiu, bułeczki czy chleb, bo wychodzę po zakupy?

– Kup, co chcesz, ale nie zapomnij o toto-lotku, żebyśmy wygrali i byli bogaci – pada szybka odpowiedź.

Takie jest życie w mieszkaniu przy Oakmont Rd. Ciągły młyn i ani chwili odpoczynku. A przy tym wielka miłość do siebie wszystkich domowników. I miłość do ludzi i do sztuki. To się czuje. Tu jest „kwatera główna", jak żartobliwie nazywał apartament Jerzy Pilitowski, bo stąd dowodzi się zarówno rodziną, jak i teatrem.

Maria Nowotarska:

Przetrwaliśmy tu w radości i w twórczej pracy, co jest dla nas wielkim darem losu. Agata, która była aktorką, ale nie miała wiary, że to, co robimy, się uda, nagle stała się tak ważnym ogniwem i pracy, i rodziny. No i dzieci Agaty też siłą rzeczy musiały pomóc. Czasem nawet miałam wyrzuty sumienia, że za mało dbamy o to, czy dzieci mają odrobione lekcje, bo ważniejsze było, czy będą na próbie. Nie tylko występowały, ale i pomagały w sprawach technicznych. (…) Patrząc z perspektywy czasu, widzę, że oni się ogromnie dużo nauczyli: języka, śmiałości w

wystąpieniach publicznych, systematyczności i pracy w zespole. Teraz są entuzjastami tego teatru. Nie żal mi więc pracy, bo nie spodziewałam się, że tyle szczęścia może mnie tu spotkać.

Jerzy Pilitowski:

Teatr w Toronto daje Marysi możliwość dalszego funkcjonowania w teatrze. A ja? Może głupio robię, może jestem idiotą, bo gdybym się tu urządził nawet jako urbanista, to pewnie bym daleko zaszedł, bo tu ludzi z takim doświadczeniem, jakie ja mam, nie ma wielu. A ja w Toronto zawiesiłem mój zawód na kołku i zająłem się teatrem.

Dla mnie ten teatr jest wielką przygodą, a ja zawsze byłem „przygodowiec". Jestem szczęśliwy, że mogę Marysi pomóc i że jest to nasza wspólna przygoda.

Maria Nowotarska:

My z Jurkiem zawsze byliśmy dobrym, kochającym się małżeństwem, ale zawodowo idącym w różnych kierunkach. A tutaj to ognisko teatru stało się naszą wspólnotą i gorącą wymianą myśli, przy jednoczesnym wielkim trudzie organizacyjnym. Pamiętam, gdy zaczęłam szukać sponsorów, czułam się upokorzona, bo nagle ja, doświadczona aktorka, która nigdy tego nie robiła, muszę pójść do pana X czy do pana Y,

poprosić, czy by nie pomógł i narażać się na różne reakcje. Ale Jurek powiedział, że nam się korony dobrze trzymają na głowach, nawet jeśli się schylimy, to nam nie spadną, więc będziemy to robić, bo mamy wyższy cel.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.



Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei